Nr 19 (1582) Warszawa, 13 maja 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Obecne położenie polityczne w Austrji.

W Austrji, w dobie obecnej, zapanował w sprawach politycznych chwilowy zastój. Nie jest on naturalnie zupełny, lecz częściowy tylko, w każdym razie odbija od tego co było przed laty kilku.

Złożyły się nań rozmaite okoliczności. Przedewszystkim sfery konserwatywne, mające poważne wpływy przy dworze, niezadowolone z reformy wyborczej do parlamentu i obawiając się nowych kroków w kierunku demokratyzacji Austrji, robią wszystko co mogą, aby utrudnić wydajność pracy parlamentu. Żywioły te skupiły się w Izbie panów oraz koło niektórych arcyksiążąt. Baron Bienerth, który przyszedł na miejsce postępowego stosunkowo Becka, jest ich powolnym sługą. Żywioły konserwatywne zupełnie się z tym nie kryją, że radeby ustalić w Austrji rządy gabinetów ściśle biurokratycznych t. j. niezależnych od większości parlamentarnej.

Niedawno zachowawczy dziennik niemiecki *Vaterland*, nie mający wprawdzie zbyt dużo prenumeratorów ale wpływowy, gdyż czytają go sfery arystokratyczne, biurokratyczne i dworskie, zamieścił bardzo znamienny artykuł, usiłujący uzasadnić pożytek gabinetów biurokratycznych w Austrji. Główna jego argumentacja jest następująca: demokratyzacja parlamentu otwiera dostęp do życia politycznego szerokim kołom społecznym, przywódcy rozmaitych stronnictw politycznych tworzą liczny zastęp kandydatów na ministrów, co znowu przyczynia się do częstych przesileń gabinetowych, przy których ludzie ci starają się zdobyć dla siebie stanowisko w rządzie. Otóż gdyby gabinety ministerjalne składały się z biurokratów, zaufanych monarchy, wówczas niebyłoby pola do owego współubiegania się o teki, co wpłynęłoby dodatnio na bieg spraw państwowych, gdyż rządy byłyby stalsze niż obecnie, i tylko w ważnych wypadkach następowałyby przesilenia gabinetowe. Mogłoby to mieć i tę dobrą stronę, że wówczas ministrami byliby ludzie fachowi, a nie dyletanci, których demagogja stronnictw wysunęła na wysokie stanowiska.

Całe to rozumowanie nie jest ani nowe, ani przekonywające. W ciągu pierwszych lat 25 istnienia III-ej Rzeczypospolitej francuskiej biadano ciągle, w ojczyźnie rewolucji, nad niestałością rządu i z różnych stron doradzano jego wzmocnienie przez usunięcie w tej, albo innej formie, jego odpowiedzialności przed parlamentami.

Życie przeszło nad tymi planami do porządku dziennego.

Gabinety czysto biurokratyczne w Austrji nie mogłyby stale funkcjonować w sposób zadawalniający, byłyby bowiem zbyt oderwane od życia. Uczestnicy ich mogliby być ludźmi fachowymi pod względem technicznym, naogół jednak brakby im było szerszych widnokręgów. Zresztą doświadczenie nas poucza, że nawet w łonie biurokracji wyższej odbywają się również ciągle walki o stanowiska powodujące nieraz przesilenia.

Rządy gabinetów biurokratycznych w Austrji nie miałyby poparcia w społeczeństwie.

Marzenia *Vaterlandu* pozostaną marzeniami tylko. Austrja poszła już zbyt daleko w kierunku demokratycznym, aby cofnąć się miała do wzorów pruskich. Zresztą ten fakt, że skład jej narodowościowy jest bardzo różnorodny, utrudnia bardzo stworzenie rządów gabinetów biurokratycznych.

Drugim czynnikiem wprowadzającym zastój na

drodze wewnętrznego rozwoju Austrji — jest jej uzależnienie się, w polityce zagranicznej, po aneksji Bośni i Hercegowiny, od Niemiec.

Austrja zbroi się ciągle i przystępuje do utworzenia silnej marynarki nie tyle we własnych, dobrze zrozumianych, interesach państwowych, ile raczej w interesach Niemiec, które w pragnieniach swych są nienasycone.

Nadzwyczajne wydatki na cele militarne, robione bez końca, bez jasnej przewodniej myśli politycznej — spychają z konieczności na plan dalszy wielkie reformy gospodarcze, socjalne i kulturalne. W takich warunkach, rząd stara się załatwić tylko „konieczności" państwowe i uchylić się od różnych zobowiązań. Parlament domagający się reform staje się wówczas instytucję kłopotliwą.

Trzecim wreszcie czynnikiem utrudniającym normalny rozwój stosunków społeczno-politycznych w Austrji — jest rosnący wciąż nacjonalizm.

Stronnictwa nacjonalistyczne są najbardziej demagogiczne ze wszystkich. Nie wysuwając zazwyczaj realnych interesów narodowych, — są one najczęściej wyrazem, albo łapczywych instynktów różnych grup społecznych i ich przywódców, albo też utopijnych mrzonek, wyrosłych na tle reminiscencji historycznych.

Prawdziwy patrjotyzm łączył się zawsze, w epoce wielkich walk o wolność narodów, z dążnościami demokratycznymi i radykalnymi, z poczuciem solidarności międzynarodowej ludów; patrjoci wielcy i szczerzy, dążyli do zapewnienia swojej ojczyźnie warunków wszechstronnego rozwoju.

Nie chcę przez to powiedzić, aby w Austrji byli tylko nacjonaliści, i aby nie było patrjotów. Przeciwnie, są jedni i drudzy. Ale nacjonaliści utrudniają właśnie nietylko rozwiązanie, ale nawet złagodzenie antagonizmów narodowych.

Spór czesko-niemiecki w Czechach i na Morawach, polsko-czesko-niemiecki na Szląsku, polsko-ruski w Galicji, oraz inne spory narodowościowe w Austrji byłyby łatwiejsze do rozwiązania, gdyby nie ów duch nacjonalistyczny.

Oczywiście przyjdzie czas, w którym nacjonalizm zostanie przezwyciężony. Samo doświadczenie wykaże całą jego jałowość i szkodliwość; aby jednak upadł, trzeba koniecznie, aby rzeczywiste potrzeby narodowościowe rozmaitych ludów zostały zaspokojone należycie, co łatwym bynajmniej nie jest. W Austrji stosunki narodowościowe są nader skomplikowane, co utrudnia bardzo sytuację.

W każdym jednak razie, zastój obecny, panujący w życiu politycznym Austrji — nie jest bynajmniej beznadziejny. Narody, wchodzące w skład tego państwa zdobyły trwałe podstawy dla swojego rozwoju; parlamentaryzm zapuścił już głębokie korzenie w społeczeństwach. Żywioły konserwatywne niezawodnie nie osiągną swojego celu.

Socjalna demokracja austryjacka, kierowana umiejętną ręką swoich przywódców, obcych naogół doktrynerstwu, robi w masach ludowych coraz większe postępy. Jeżeliby nawet, chwilowo, tu i owdzie, przy nowych wyborach, stracić miała pewną ilość głosów — to nie oznaczałoby to bynajmniej jej upadku.

Nie ulega też wątpliwości, że cała Austrja robi znaczne postępy kulturalne i ekonomiczne. Zastój więc obecny nie może trwać zbyt długo.

Nawet w Czechach powoli stwarza się grunt dla zaprowadzenia ugody między Niemcami a Czechami.

Położenie obecne na półwyspie Bałkańskim zdaje się zapowiadać jakieś poważne przesilenie, po którym być może nastaną lepsze czasy. Przesilenie to

---

ECHA PRAWDY.

Ostatni Szuanie.

Na międzynarodowym zjeździe prasy dziennikarze nasi świecili swoją nieobecnością; stało się to na rozkaz kleru.

I prędzej niż przypuszczaliśmy doszło do dziwacznego podziału opini światowej na dwa nierówne obozy: po jednej stronie cała myśl współczesna, hołdująca kulturze świeckiej, a po drugiej — tow. lwowskich dziennikarzy.

Kto nie wierzy, niech weźmie do ręki którekolwiek z pism klerykalnych, np. berlińską *Germanię*.

Pobożny ten organ uderza z wielką pasją na p. Wilhelma Singera, który jako prezes Międzynarodowego Związku Prasy, po zagajeniu kongresu w Rzymie, złożył burmistrzowi Nathanowi oficjalną wizytę i wyraził mu sympatję w imieniu swej korporacji.

Ten prosty i zwykły akt uprzejmości wytrącił *Germanię* z równowagi.

— Jak może — wołała *Germania* — austrjacki dziennikarz *gloryfikować liberalne Włochy*, które powstały w walce przeciw Austrji?

A przedewszystkim, jakim prawem wyraża „aż nadto znanemu rzymskiemu burmistrzowi Nathanowi" żywą sympatji prasy całego świata?

Przecież „katolickie tow. dziennikarzy polskich we Lwowie wyraźnie odmówiło wysłania na kongres delegatów!"

Widzimy zatym, jak silnym — i wyłącznym — atutem jest prasa „polska" w ręku... *Germanji.*

Organ zakrystji pomija, że p. Singer przemawiał na kongresie w imieniu tych sfer, które tam *były*, nie siląc się bynajmiej na oddanie nastroju pism i osób nieobecnych z własnej, i nieprzymuszonej (?) woli.

Cóż jednak pomyśleć o czelności *Germanji*, która woła: „jak śmie austrjacki dziennikarz gloryfikować liberalne Włochy" i stawia Polaków za przykład papiesko-habsburskiego lojalizmu, zapominając zupełnie, że w wojnach o wyzwolenie Włoch Polacy stali przy boku Mazzinich i Garibaldich!

A cóż pomyśleć o tępym znieczuleniu, o beznadziejnym wyzbyciu się wszelkich tradycyjnych uczuć polskich ze strony naszej prasy klerykalnej, która pośpieszyła chełpliwie przenieść komentarz *Germanji* na swoje szpalty!

A przecież postawa lwowskich dziennikarzy nie nie jest bynajmiej chlubą dla narodu, który tak biernie i bezmyślnie daje się użyć za narzędzie rzymskich intrygantów.

Użytek, jaki z tego zajścia czyni taka *Germanja*

może nawet chwilowo spowodować nowe wysiłki Austrji, w ostatecznym jednak rezultacie doprowadzi zapewne do ustalenia się na czas jakiś stosunków na Wschodzie bliższym.

Ludwik Kulczycki.

Włochy

(w 50-cio letnim jubileuszu pod względem politycznym i gospodarczo-społecznym).

I.

W roku obecnym przypada 50-cio letni jubileusz Zjednoczonych Włoch. Wysiłki bohaterskie narodu włoskiego, zdobywającego wolność i wkraczającego na tory rozwoju nowoczesnych państw, stawia się nam nieraz za przykład. Inni zachwycają się pięknością przyrody włoskiej, lub mówią wzgardliwie o typowym lenistwie ludu włoskiego, opisując nam w różnych szatach osławionych „lazaroni". Jednakże zarówno ci, jak tamci posiadają zaledwie bardzo skąpe wiadomości o dorobku społeczno-kulturalnym nowoczesnych Włoch. W ciągu tego czasu zrobiły Włochy ogromne postępy na każdym polu. Zdobycze te zawdzięcza naród własnej energji i wytrwałości, zmagając się ustawicznie z przeciwnościami, piętrzonymi tak ze strony rządu, jak parlamentu i Watykanu.

Czynnik ostatni zaciążył poważnie w życiu polityczno-społecznym Włoch. Przez Włochów został znienawidzony. Większości ich obcy jest klerykalizm, również jednak obcy jest im fanatyczny antyklerykalizm. Włochy są krajem typowej swobody indywidualnej, politycznej i religijnej. Dla Niemców np. stosunki te są tak dalece niezrozumiałe, że mówią zdawkowo o Włochach jako o „urodzonych rewolucjonistach". Tak jest! Jest to kraj indywidualności, gdzie każdy woli być pierwszym na wsi, aniżeli drugim w stolicy. Rewolucjonistami są o tyle, że nienawistną jest im rola kółek maszynowych, kręcących się podług rozkazu władzy, nienawistną typowo niemiecki sposób biurokratyzacji całego życia.

Jeżeli przyjrzymy się życiu politycznemu Włoch, to musimy podkreślić, że koncentruje się ono w całości około parlamentaryzmu. Ustrój polityczny nowoczesnych Włoch, datujący się od 1861 r., wzorował się na Anglji. By zrozumieć mechanizm tego życia parlamentarnego, trzeba przedewszystkim pamiętać o tym, że opiera się ono na gminie.

Tak jak dzieje wieków średnich streszczają się we Włoszech w walce poszczególnych miast ze sobą i krwawych zapasach przywódców, skupiających koło siebie zwolenników, tak dziś na widownię życia politycznego wysuwa się gmina; miejsce dawnych Antoniuszów, Caesarów zajmują „signori", ludzie, którzy majątkiem odziedziczonym, czy nabytym, czy też potęgą wymowy zdołali się wybić na pierwsze miejsca. Szczęśliwiec taki, osiągnąwszy znaczenie w swoim *milieu*, zdobywa pierwszy stopień do władzy, godność burmistrza (sindaco). Mając już władzę, trzyma się przy niej kurczowo, przykuwa do siebie za wszelką cenę wierną klikę, szafuje dla niej hojnie majątkiem gminnym, staje się równocześnie wiernym sługą każdorazowego ministerjum. Następstwem tego są tak częste bankructwa gmin włoskich. Skoro gospodarka taka zaczyna przybierać rozmiary skandaliczne, rząd wkracza z interwencją. Rada gminna zostaje rozwiązana, komisarz rządowy zaczyna urzędować. Po jego odjeździe rzecz zaczyna się na nowo.

W wielkich miastach, we Włoszech północnych, zdobywają w ostatnich czasach coraz większy wpływ socjaliści, gdzieniegdzie także anarchistyczne żywioły.

Wybitna różnica zaznacza się między prowincjami północnymi a południowymi. W południowych, liczących prawie 15 mil. mieszkańców, na 34 mil. ogółu ludności, panują stosunki przypominające Galicję z rządami szlachty i magnatów, z typową korrupcją wyborczą. Tu też cieszy się wielkim wpływem kler. Niektórzy konserwatywni politycy prowincji północnych twierdzą nawet, iż obecną konstytucję należało tylko wprowadzić we Włoszech północnych i środkowych, a dla Włoch połud. stworzyć stan przejściowy. Teoretycznie rzecz biorąc, Włochy są jakby stworzone dla jedności politycznej. Terytorjum narodowo jednolite, brak podkładu dla walk wyznaniowych, gdyż w r. 1901 było tylko 65,595 pro-

---

świadczy wymownie, że kler katolicki, który czyni nas na Wschodzie środkiem swego prozelityzmu, jednocześnie stara się wyobcować Polaków z grona narodów europejskich: cóż na tej drodze zyskać możemy, jeśli nie guzy, lekceważenie innych narodów i miano niechlubne *ostatnich Szuanów*?

Nowy Caligula.

Jeden ze zwyrodniałych Cezarów, doprowadzony do szaleństwa poczuciem bezgranicznej swej władzy, sadząc się na coraz dziwaczniejsze pomysły, mianował swego wierzchowca — konsulem.

Wątpliwych laurów Caliguli pozazdrościł p. Gałęzowski, dyrektor Muzeum Polskiego w Rapperswilu; nie mając pod ręką konia, zamianował p. Rużyckiego de Rosenwerth kustoszem naszych pamiątek.

Wybryki Caliguli miały koniec rychły i żałosny; swawola p. Galęzowskiego trwa od dłuższego już czasu; na skargi i protesty całej prawie opinji kraju naszego nowy Caligula odpowiada notami, pisanymi stylem wyniosłym, urągliwym,a nawet ironicznym, jak widać z zamieszonego w naszej *Kronice* dokumentu.

A p. Rużycki de Rosenwerth w sutym czapraku stoi na zamku Rapperswilskim, grzebiąc nóżką w cennych elzewirach, ku podziwowi turystów.

Nieoświecony absolutyzm.

Ilekroć wypadnie nam mówić o szkole polskiej, zawsze przyśpieszonym tętnem biją nasze serca. Jest ona ostatnią wysepką, pozostałą na wielkim morzu zawiedzionych nadziei. Może dlatego właśnie zogniskowaliśmy na niej tyle uwagi i czujności. Pragnęlibyśmy w niej widzieć rozsadnik ideałów kultury, światła, pracy. Kształcąc młodzież, chcemy w niej kształcić siebie, wpajać w ogół potrzebę karnej solidarności, poczucie obowiązku społecznego, cześć dla myśli polskiej, uwielbienie dla polskiego słowa.

Tak szerokiemu zakresowi zadań tylko zbiorowe, zespolone siły podołać mogą. A w zespole tym trzy przedewszystkim czynniki najściślej ze sobą współdziałać powinny: władza szkolna (dyrektor), rada pedagogiczna (profesorowie) i rodzina.

W stosunku do młodzieży trzy te siły stanowić powinny organizm zgodny, łączny i harmonijny. Zespolone między sobą węzłami szczerości i zaufania, tym samym językiem szczerym i otwartym przemawiać winny ze swej strony do uczni: nie przeciwstawiać się im, ale celowo i świadomie ogarniać ich atmosferą swego doświadczenia i dojrzałej równowagi.

Cóżbyśmy powiedzieli o szkole, która już nie w praktyce, ale w zasadzie stawiałaby sobie za zadanie rozbijać ową harmonję psychiczną czynników wychowawczych, wprowadzając usilnie pomiędzy nie rozterki i przeciwieństwa?

estantów a 35,617 żydów. A mimo to jedność prawdziwa, o której marzyli twórcy współczesnych Włoch z przed 1861 r., jest jeszcze nieosiągnięta.

Antagonizm południa i północy jest jej najpoważniejszym przeciwnikiem. Nie państwo lecz kliki mają interes w tym, by południe traktować po macoszemu. Ludność ciemna, zagłodzona, podburzona przez niesumiennych partykularzystów, sfanatyzowana, przez wrogi jedności państwa włoskiego Watykan, żyjąca wspomnieniami ubóstwionej dynastji Bourbonów, jest groźnym sfinksem, którego zagadkę musi państwo, we własnym interesie, jak najszybciej rozwiązać. Nawiasowo należy zaznaczyć, że akcja ratunkowa pary królewskiej i komitetów miast północ., przy pamiętnej katastrofie żywiołowej w Messynie i Regio di Calabria przyczyniła się znacznie do zjednania południowych mieszkańców Włoch dla ich ziomków północnych i dynastji.

Dziwny kontrast zachodzi pomiędzy wybitną demokratyzacją kraju, a prawem wyborczym bardzo niedemokratycznym. Nie możemy się tutaj wdawać w szczegóły, dość powiedzieć, że na podstawie spisu ludności z 1901 r., na 8740,000 mieszkańców, liczących ponad 21 lat, (census wieku) zostało przeszło 6 mil. pozbawionych prawa wyborczego. Dołącza się do tego krzywdzący podział na okręgi. Podług ustawy na 50,000 mieszkańców przypada 1 poseł. Powinno być więc obecnie 700 posłów, tymczasem jest ich 508. Do poselstwa rwą się dziś przeważnie adwokaci. Na arenie parlamentarnej formują się grupy około swoich przywódców, którzy zwalczają się w sposób zacięty. Możnaby wprost rzec, iż we Włoszech na plan pierwszy występują przeciwieństwa interesów poszczególnych wodzów, partji właściwych prawie niema, są tylko zwolennicy tej czy owej osobistości. Deputowany cieszy się we Włoszech olbrzymią czcią i poważaniem.

Pochód jego tryumfalny, w okręgu z którego został wybrany, równa się pochodowi jakiegoś zwycięskiego wodza rzymskiego.

Prócz izby deputowanych istnieje senat, którego członków liczba nie jest ograniczona. Obecnie jest 380. Mianuje ich król, na propozycję ministerjum, dożywotnio. Izba deputowanych zachowuje się wobec senatu jak wobec zastępu starych mumii. Wskutek niepopularności jaką „cieszy" się senat nie będą nas dziwić liczne projekty zdążające do zreformowania i zdemokratyzowania tej instytucji. Ostatnią próbę w tym kierunku przedsięwzięli radykali w r. 1910, popchnięci do tego przez konflikt senatu z izbą gmin w Anglji.

Intrygi klik parlamentarnych i wzajemna ich rywalizacja decydują o ciągłej zmianie ministerjów. Uwzględniając momenty historyczne możnaby wnioskować, że długa niewola nauczyła Włochów strzedz pilnie raz zdobytej wolności. Stąd dążność, by przez częstą zmianę ministerjów odjąć któremukolwiek z nichchęć zagarnięcia, z pomocą korony i wojska, nieograniczonej władzy. Od r. 1861 do 1901 r. było 36 ministerjów, ministerjum Giolittiego trwało do 1909 (10 lat).

Franciszek Dorosz.

Stanisław Brzozowski.

(Zmarł we Florencji d. 30 kwietnia 1911 r.)

Działalność literacką rozpoczął Stanisław Brzozowski od pisania popularnych broszurek o Tainie, Kremerze, Śniadeckim, o logice, o psychologji i o filozofji. Każda z nich doskonale spełnia swoje zadanie, pisana jest treściwie i jasno — czego już nie można powiedzieć o późniejszych pismach Brzozowskiego. Szczególnie broszurka o filozofji miała duże powodzenie; już w niej zaznaczyła się bardzo silnie ta idea przewodnia Brzozowskiego, która się potym w innych jego pismach tak bujnie rozgałęzić miała: że sprawy umysłowe stoją w ścisłym związku z całym życiem człowieka, że więc np. „filozofja nie jest martwą i bezduszną gmatwaniną niezrozumiałych formułek, lecz zwraca myśl naszą ku najważniejszym, zasadniczym zagadnieniom naszego istnienia".

Ucząc drugich, uczył zarazem sam siebie i te dwie czynności wykonywał potym przez całe życie, na coraz większą skalę. Naukowy ruch popularyzatorski, tak rozkrzewiony w Warszawie, chwycił go prawie zaraz po wyjściu ze szkół w swoje tryby i wytknął mu tor działalności. Obdarzony talentem krasomówczym, stał się Brzozowski najświetniejszym polskim prelegentem, jego wykłady w Warszawie, w Krakowie, w Zakopanem i we Lwowie miały ogromne powodzenie. Jeszcze gdy pisał broszurę o Tainie, skła-

---

Niestety, istnieje szkoła taka w Warszawie, jak o tem mieliśmy już przykrą sposobność powiadomić czytelników naszych w Nr. 14 *Prawdy* w artykule p. n. „Wilczy dół". Jest nią 8-mio klasowa uczelnia filologiczna p. Wojciecha Górskiego.

Gorszące zdarzenie podstępnego podejścia jednego z uczni przez dyrektora, celem wydobycia zeń pożądanych zwierzeń, nie było w szkole tej wyjątkiem; raczej poczytać je należy za symptomat, dobitnie charakteryzujący zdawna ugruntowany w niej system.

P. Górski nie szczędzi wysiłków, aby wykopać jaknajszerszy przedział między nauczycielem a uczniem. Sam, nie ciesząc się sympatją młodzieży, czuwa nad tym, by nie obdarzyła ona zaufaniem kogoś z pośród profesorów. Przeciwnie, niechęć ze strony wychowańców staje się w oczach p. Górskiego najlepszą rekomendacją zdolności pedagoga. Swej metodzie *przekory* pozostaje on wierny i wówczas, gdy niechęć młodzieży względem wątpliwego pedagoga przechodzi we wzgardę wrażliwych serc dla moralnej lichoty nieponia.

Osobnik niepożądany wszędzie się wcisnąć może. A więc i w mury szkolne. Chodzi o to, aby szkodnika dość wcześnie rozpoznać, a poznawszy usunąć.

P. Górski atoli doprowadza do tego, iż uczniowie, zdjęci obrzydzeniem, czują się zmuszeni wystąpić z protestem przeciwko dalszemu uczestnictwu w szkole kompromitującej jednostki.

— Jeśli chcecie zatrzymać nauczyciela w szkole, to go bojkotujcie! — odpowiada na to uczniom dyrektor i postanawia całą potęgą swej opieki salwować zszarganą kreaturę.

Wbijając klin między uczni a profesorów, p. Górski jednocześnie stara się odgrodzić rodziców od porozumienia z radą pedagogiczną. Wiemy, np. o takim wypadku: dyrektor, mocą osobistej władzy, usuwa z 6-ej klasy ucznia, z powodu wolnomyślnych jego przekonań, oświadczając radzie pedagogicznej, że chłopiec opuszcza szkołę na żądanie rodziców; skoro jednak rodzice, chcąc wyświetlić sprawę, probują odwołać się do rady, p. Górski energicznie zapobiega temu, grożąc wręcz pomniejszeniem stopnia ze sprawowania ich synowi, jeśli nie poniechają swego zamiaru.

P. Górski stale degraduje radę pedagogiczną; opierając się na swoim prawie właściciela, obniża on jej znaczenie do *minimum*. Niech tedy wie, że przez to sam degraduje on siebie z poziomu *działacza społecznego*, organizującego kadry współpracy na polu wychowania, na poziom *przedsiębiorcy prywatnego*, zarobkującego przy warsztacie oświaty.

Ideowe przekonania tego osobliwego pedagoga

niał się ku zasadom konserwatywnym, ścieliła mu się karjera uczonego — ale temperament bojowy, żądza wyciągania natychmiastowych konsekwencji praktycznych z przesłanek serca i rozumu, sprawiły, że stał się najżarliwszym socjalistą, prelegentem, agitatorem.

Jednocześnie nie ustawał Brzozowski w pracy publicystycznej, którą zaczął mniej więcej w 1902 r. na szpaltach tygodnika warszawskiego *Głos*. Pisywał artykuły literackie, filozoficzne, społeczne, polityczne z niepraktykowaną dotychczas w Polsce bezwzględnością sądu, głębokością kryterjów, jakie przykładał do każdej sprawy. Głośnymi się stały zwłaszcza dwie kampanje Brzozowskiego w *Głosie*: przeciw Sienkiewiczowi i pzzeciw Miriamowi. Przeciw Sienkiewiczowi wystąpił Brzozowski z okazji jego niefortunnego aforyzmu o rui u Przybyszewskiego. Brzozowski, jako wybitny „społecznik" był właściwie dalekim od t. zw. szkoły Przybyszewskiego i cały jego kierunek poddawał zasadniczej krytyce — ale cenił u Przybyszewskiego „demonizm fizjologiczny", a w jego twórczości widział pewną nieuświadomioną formę głębokich przeobrażeń zbłąkanej duszy kulturalnej, wypowiadającej się dziwnym językiem, który jednak odcyfrować należy, aby zrozumieć doniosłość treści. Impet, z jakim Brzozowski wówczas rzucił się na pisarza o takiej firmie jak Sienkiewicz, skandaliczne zajścia, sprowokowane wówczas przez nietaktownych obrońców Sienkiewicza, — przesłoniły publiczności głębszy sens kampanji, rozgranej wówczas przez Brzozowskiego. Atak jego zwracał się przeciw Sienkiewiczowi nie jako talentowi pisarskiemu, ale jako poecie Polski, szlacheckiego rozkładu i zastoju, sybarytyzmu i sobkostwa rodzinnego, które Brzozowski ochrzcił nazwą „Połanieccczyzny". Chroń mnie Boże od takich przyjaciół! — mogła jednak wnet zawołać t. zw. Młoda Polska, gdy Brzozowski z taką samą furją w imię ideałów społecznych uderzył w Miriama, jako egzotycznego ochroniciela tej sztuki, która izoluje się od zagadnień życia i ugania za absolutem od jednej kapliczki z kości słoniowej do drugiej, — nieodgadniona i niczego nie odgadująca chimera. Ta kampanja, donioślejsza od poprzedniej, była spaleniem mostów, łączących Brzozowskiego z t. zw. Młodą Polską i pierwszym etapem na drodze ku szczytowi jego twórczości krytycznej: „Legendzie Młodej Polski".

Tymczasem wyłoniła się znana sprawa Brzozowskiego: zarzucono mu szpiegostwo. Zarzut ten, dotychczas jeszcze nie zdjęty z niego, był bardzo wygodnym dla wielu wrogów, których sobie porobił Brzozowski: uwolnił ich od obowiązku odpowiadania i liczenia się z jego argumentami. Zignorowano go zupełnie, wszystkie stronnictwa odwróciły się od niego. Jego działalność wykładowa została przeciętą, równocześnie choroba nurtująca w nim oddawna poczyniła tak znaczne postępy, że musiał się przenieść na południe do Włoch. Tu na emigracji dokonał transsubstancjacji swego dogasającego żywota w ogromne dzieła: „Legendę" „Płomienie" „Idee" i świeżo wyszłą powieść „Sam wśród ludzi".

Na kamienie odpowiedział posągami.

Zawieszona nad nim klątwa narodu nadaje tej ostatniej fazie jego życia charakter demonicznej walki tym razem już z całym narodem.

Była to z jego strony wielka odwaga uzurpować sobie wobec narodu rolę pedagoga i kaznodziei, tym bardziej, że narodowi naszemu nigdy na prorokach, wieszczach i tyrteuszach nie zbywało, zwłaszcza w ostatnich czasach...

W niepozornym a tak bardzo dla Brzozowskiego charakterystycznym dziełku „Wstęp do filozofji", wydanym u Friedleina, potym w monografjach o powieści i o krytyce współczesnej w Polsce, wydanych u Staudachera, zaczął Brzozowski powoli krystalizować swój „światopogląd pracy i swobody". Po zerwaniu z empirjokrytycyzmem Avenariusa, oddany z jednej strony wpływowi Marksa, z drugiej strony Fichtego, oraz wschodzących gwiazd Bergsona i Sorela zbudował sobie swoją syntezę filozoficzną. Nie jestem kompetentnym by ocenić, o ile ta synteza jest oryginalną. Brzozowski pokwitował w swoich pismach sumiennie wszystkich mistrzów, którzy mu cokolwiek dali: byłoby małodusznością zaprzeczać, że odegrała w tej budowie główną rolę także wrodzona intuicja filozoficzna niestety nie chodząca w parze ze ścisłością naukową i jasnością myśli.

Główną zaś i wyjątkową zaletą Brzozowskiego było to, że umiał ludzi przejmować i do głębi wstrząsać myślami cudzymi czy swoimi, że niejako reaktywował szkielety abstrakcji i wyprowadzał je na widownię jako potężne burzące i rozkazujące żywioły.

W pierwszym swoim okresie akcentował Brzozowski głównie swobodę. „Ideałem kultury jest uczynić wszelką istniejącą treść swobodną". „Wszelka kultura była dotychczas wskutek nacisku ekonomicz-

---

obejmują tak ciasny krąg zjawisk i ludzi, że właściwie poza granicami jego wzroku, sympatji i rozumienia znajduje się cała twórcza, nowoczesna demokratyczna Polska. Nie żądamy odeń głoszenia zasad wolnej myśli i postępu świeckiej kultury, bo to jest *luxus* umysłowy, na który w ubogiej duchem Polsce nieliczni tylko mogą sobie pozwolić. Wszelako słuszne mamy prawo od dyrektora szkoły żądać przynajmniej poszanowania dla nauki polskiej, dla jej ofiarnych pracowników. O pietyzmie dla zasług naukowych ze strony p. Górskiego dotąd jednak nie słyszeliśmy nic. Słynna zato stała się dziś już naganka, wszczęta przezeń celem zdyfamowania śród uczni pamięci Wacława Nałkowskiego. Młodzież szlachetnym zapałem hołdu uczciła w zmarłym bohaterski wysiłek badacza, który dostatek, zdrowie, życie złożył w ofierze rozwojowi umiłowanej przez się umiejętności. I nie był to hołd przesadny. Nałkowski w dziedzinie geografji był istotnie twórcą wielkiej miary. Dzięki jego samotnemu wysiłkowi Polska na polu badań geograficznych szła przez czas pewien o pół kroku naprzód przed Europą.

W surowych atoli oczach naszego dyrektora twórca „Geografji ziem polskich" był tylko „warchołem", ot — „człowiek bez zasad", którego wspominaćnie warto!

Między uczniami szkół średnich, którzy brali udział w pogrzebie Wacława Nałkowskiego, znalazło się także koło 30-stu, uczęszczających do szkoły p. G.; ten-że, dowiedziawszy się o tym, zapłonął niepohamowanym gniewem; jednemu z „winowajców" oświadczył wprost, ze powinienby wszystkich wydalić, ale nie czyni tego, ponieważ nie zapowiadał, iż uczniom z jego szkoły nie wolno odprowadzać na cmentarz zwłok ludzi „tego rodzaju". Dnia zaś 5-go lutego pojawiła się w *Gazecie Warszawskiej* następująca wzmianka:

Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, że uczniowie szkoły Wojciecha Górskiego nie brali udziału w pogrzebie W. Nałkowskiego (!!!).

„Proszę pomyśleć, pisze jeden z wychowańców tej szkoły (p. *Kulturę Polską*, zeszyt majowy) ile jadu, bezmyślnego okrucieństwa, mieści się w tych kilku skłamanych słowach. Jest to niegodziwym w stosunku do pamięci zmarłego, jest to także brutalną obrazą uczuć dorastającej młodzieży, wrażliwej na taką zniewagę".

P. Górski dba przedewszystkim o jedynowładność swych rządów. Jest to platonik despotyzmu. Absolutyzm, zdaniem jego, leży w samej naturze, w samej logice rzeczy. Opętany halucynacją wszechmocy, sądzi on, że wola jego rządzi nietylko sprawo-

nego częściową, wyzwalała tylko pewne pierwiastki życia". „Sztuka jest antycypacją, dziedziną, w której duch wykonywa te swoje prace, na które nie ma miejsca w rzeczywistym życiu". Zwalczanie jawnych, a jeszcze bardziej maskowanych zamachów na bezwzględną swobodę człowieka jako twórcy kulturalnych wartości—było jednym z głównych zadań Brzozowskiego. Wrogiem mu była wszelka „filozofja bytu" t. j. bytu gotowego, zamkniętego, skończonego — a więc wszelkie dogmaty raz na zawsze określające zadania i twórczość człowieka, zwłaszcza zaś empirjokrytycyzm Avenariusa, czyniący z duszy ludzkiej nieosobistą mozaikę „elementów i charakterów", dalej dogmat ortodoksalnych socjalistów o nieodwołalnych prawach rozwoju ekonomicznego, rokujących socjalizmowi zwycięstwo bez przyczynienia się woli ludzkiej, dogmat ewolucyjny o automatycznym postępie ludzkości i t. d. Jedną z myśli zasadniczych jego „Legendy" i „Idei" jest to, że człowiek dotychczasowy gotowe już wyniki swej twórczości czy też dopiero jej cele sam wyrzuca na zewnątrz siebie, jako dogmat, i widzi dzieło własne jako dzieło cudze lub jako zewnętrzny przymus. Ten proces optycznych niejako złudzeń wykazuje Brzozowski na wielu przykładach i dowodzi, że niema okrucha kultury. któryby nie był własną twórczością człowieka, uświadomioną lub nieuświadomioną.

(D. n.) *Karol Irzykowski.*

Przestępczość dzieci, a szkoła świecka we Francji.

Słyszy się często wśród konserwatywnych moralistów różnych obozów zdanie, że szkoła świecka jest narzędziem zepsucia, wychowuje na zbrodniarzy, że tylko wychowanie religijne skutecznie zabezpiecza od zbrodni. Wielbiciele czasów i rządów przeszłości dowodzą niezbicie, że odkąd we Francji energicznym ruchem strząśnięto wpływ klasztorów wychowawczych, usunięto kongregację i ograniczono działalność księży do spraw kościelnych, zbrodniczość wzrosła, moralność upadła. Dyskutować z tym twierdzeniem bez udowodnienia jego fałszywości byłoby bezcelowym, trzeba tak ciężkie zarzuty zbić istotnymi danymi, żeby nie odpowiadać frazesem na frazes. Trzeba przytoczyć pewną ilość cyfr, o których nie bez słuszności powiedział Goethe, że jeżeli nie rządzą światem, pokazują nam w jaki sposób świat jest rządzony...

Przed dwoma laty badacz francuski, dr. Loewenthal, dał w krótkim studjum [1]) ciekawy obraz zbrodniczości we Francji. Zaznacza we wstępie, że wysoka cyfra spraw sądzonych obecnie nie wykazuje w żadnym wypadku obniżenia moralności publicznnj. Trzeba wziąć pod uwagę takie względy, jak udoskonalenie środków komunikacji, ułatwiające zadanie sprawiedliwości, postęp w wykształceniu, pozwalający każdemu na zredagowanie skargi, wzrost ludności miejskiej kosztem wiejskiej — bardziej nieufnej względem sądów, stworzenie nowych kategoryj zbrodni i przestępstw i wreszcie coraz wyraźniejsze zastąpienie akcji osobistej, jak zemsta, linchowanie i t. d. publiczną—to jest podanie skargi w tych wypadkach, w których dawniej załatwiało się sprawę samemu.

W dalszym ciągu autor rozpatruje stan zbrodniczości we Francji w dwóch okresach.

Pierwszy od roku 1876 do 1880, drugi od roku 1901 do 1905. Bierze pod uwagę te zbrodnie i przestępstwa, w których najlepiej się odbija niemoralność danego społeczeństwa, lub kraju. Rozpatrzmy niektóre z tych cyfr.

(Przeciętne roczne)

	Liczby bezwzględne.		Na 1 mil. mieszk.	
	1876-80	1901-05	1876-80	1901-05
Przestępstwa przeciw religji. . . .	122	33	3,3	0,8
Publiczne występki przeciw obyczajności	3.235	2.460	86	63
Publiczne występki popeł. przez jednostki poniżej lat 16 . .	70	29	1,9	0,7

Okazuje się zatym, w latach 1901-1905 większa panuje tolerancja, więcej jest poszanowania dla cudzych przekonań, chociaż się ich nie podziela, mniej jest przeszkód w wykonywaniu obrządków religijnych, oraz o 80 proc. mniej kradzieży w kościołach i świąty-

[1]) Revue du Mois. II. 1911. str. 144-168.

waniem uczni, ale i zjawiskami rzeczywistości. Z siłą przekonaniową Kserksesa, chłoszczącego morze, p. Górski chciałby dzisiaj wychłostać rzeczywistość. Imieniem swej dyrektorskiej władzy, rozkazuje on rzeczom dokonanym, aby się odstały. W tkaninie historji usiłuje on spruć pewne pasma, jak pruje się pomylony szlaczek w szydełkowej robótce...

Gdyby nie obliczenia astronomji...

Tak jest! gdyby nie świadectwo astronomji, trudno byłoby uwierzyć, że świeci nad nami słońce XX stulecia.

Tak dziwnie w jego promieniach splatają się pewne fakty, że nieraz orzec niepodobna, co w nich jest większe: czy *absolutyzm*, czy stopień jego *nieoświecenia*?

Reformatorzy katechizmu.

— Mamusiu! Co to jest rozpusta i wszeteczeństwo? — pyta 11-letni Staś z zaciekawioną minką.

Mamie zaś pons uderzył na policzki.

— Dziecko! skąd ty znasz te wyrazy?...

— Z katechizmu, najspokojniej odpowiada Staś.

Takie i tym podobne djalogi nastręczyły wreszcie wychowawcom religijnym konieczność gruntownego oczyszczenia urzędowych podręczników moralności, które nazbyt często przez skrupulatne wyszczególnienie grzechów wprowadzały do duszy dziecka nieznane mu przedtym pokusy. Miast zbudowania moralnego siały zgorszenie.

Redakcja katolickiego *Prądu* świeżo ogłosiła konkurs na zreformowanie katechizmu. *Kur. Warsz.* przyklaskując pomysłowi, dodaje w swym komentarzu, że braki dotychczasowych opracowań dosadnie zostały scharakteryzowane nietylko przez przeciwników, ale i przez obrońców religji, że wymienimy tylko głosy Sempołowskiej, Moszczeńskiej, Witkiewicza, Adama Szymańskiego, ks. kanonika Ślepickiego, ks. Bielawskiego, Marciszewskiej. Pominięto w tym spisie nazwisko Andrzeja Niemojewskiego, który, jak wiadomo, gorliwość swej krytyki katechizmów przypłacił rokiem twierdzy. Obecnie jednak słuszność owej krytyce przyznają nawet sfery klarykalne.

Czy nie powinnyby one w konsekwencji tedy zaprosić do udziału w sądzie konkursowym Moszczeńskiej, Sempołowskiej i Niemojewskiego?

niach. To samo się tyczy innych przestępstw. Znacznie niższe cyfry drugiego okresu nie usprawiedliwiają chyba jeremiad moralistów. Naogół zbrodniczość przeciwko moralności jest o 144 proc. mniej rozwinięta we Francji, niż w Niemczech, w państwie bojaźni bożej, 165 proc. mniej niż w Bawarji, ojczyźnie katolickiego centrum, które nie uznaje szkoły świeckiej i o 170 proc. mniej, niż w Belgji, gdzie jest rząd teokratyczny i głęboko klerykalny. I jeżeli Francja pod tym względem zajmuje ostatnie miejsce wśród krajów cywilizowanych—Belgja i Bawarja walczą bezustannie o pierwsze.

Więcej jest w latach 1901-1905 przestępstw zakwalifikowanych jako uderzenia, nadużycia, niszczenie zbiorów, drzew itp., lecz tutaj alkoholizm jest przeważającym czynnikiem. Działalność władz przeciw pijaństwu, i tak nietęga w latach 1876-1880, osłabła jeszcze w drugim okresie.

Badając w różnych krajach zbrodnie, czy to morderstwa, czy pokaleczenia, widzimy, że są wszędzie w ścisłym związku ze stanem oświaty i ze stopniem zamożności danej ludności. Naprzykład w Rosji, w okresie 1901-1905, w czasie najstraszniejszych klęsk, ilość zabójstw wzrosła o 100 proc. We Włoszech zabójstwa są wiele częstsze w prowincjach południowych, jak Sardynja, Kalabrja, Sycylja, Kampanja, aniżeli w Lombardji, Wenecji, Piemoncie, Ligurji, prowincjach północnych, bardziej przemysłowych, bardziej kulturalnych. We Francji jedynie jest inaczej, ale to dlatego, że w bogatszych departamentach jest duży napływ cudzoziemców, głównie Włochów. Podług obliczeń uczonego włoskiego, A. Bosco, zabójstwa są sześć razy częstsze we Włoszech, aniżeli we Francji.

A zatym, przyglądając się oskarżeniom konserwatystów w świetle cyfr, konstatujemy, że zbrodniczość we Francji nie wzmogła się pod wpływem szkoły świeckiej, lecz się zmniejszyła i że w stosunku do innych państw cywilizowanych jest jedną z najniższych.

Zobaczmy teraz, czy przestępcy rekrutują się istotnie w przeważającej liczbie z wychowańców szkół świeckich? Czy rzeczywiście młodzież zdradziła zaufanie założycieli tego rodzaju szkoły, którzy widzieli w niej narzędzie do rozwoju moralności?

Zadanie to ułatwia nam Paweł Lapie, który przedsięwziął pracę zbadania tych kwestji.[2])

(d. n.) *H. Grotowska.*

BADANIA NAUKOWE.

Dzieło O. Weiningera.

(„Płeć i charakter" — przekład Ortwina).

(Dokończenie).

Jest oczywistym, że skoro mężczyzna i kobieta są ciałami ważkiemi a nie żadną „abstrakcją" a własności ich przejawiają się w ich widocznych funkcjach i czynnościach, cały problemat uświadomienia sobie czym jest mężczyzna i kobieta, jakie między nimi różnice i podobieństwa zachodzą, skąd i jakie natrafia się między nimi odmiany, pozostaje z konieczności całkowicie w sferze spostrzeżeń porównawczych i sferze doświadczeń. Inaczej Weininger. Poszukując charakterystyki „absolutnej" kobiety i „absolutnego" mężczyzny, wpada autor na pomysł, rażący swą dziwacznością, obierając sobie za punkt wyjścia transcedentalną filozofję Kanta. Rozumie się, że wnioski zdobyte na tak niewłaściwej i fałszywej drodze nie mają nic wspólnego z realnym bytem, z rzeczywistością, z rzeczywistą kobietą i rzeczywistym mężczyzną. Kobieta i mężczyzna Weiningera są to konstrukcje i kategorje nietrzeźwego i zawiłego myślenia, utkane z absolutów, wieczności, nieśmiertelności, z idei Boga, wolnej woli i t. p. abstrakcji, co wszystko razem niewiele jest warte.

A do jak nadobnych wniosków można na tej drodze dojść, może posłużyć następująca, bynajmniej nie wyczerpująca lista twierdzeń autora.

Zdaniem Weiningera, zawierającym ogromny procent pustej i czczej frazeologji, przyobleczonej w szaty uczonego rezonerstwa, kobieta cała jest przepojona nawskroś płciowością, która trwa bezustannie i każdy punkt jej ciała jest płciowo-pobudliwym. Płciowość mężczyzny choć jest wybuchową, występuje z przerwami perjodycznie, nie absorbuje go nigdy całkowicie, a sfera pobudliwości płciowej na jego ciele jest ograniczoną i ciaśniejszą. Świadomość wyrazista jest znamieniem mężczyzny. Świadomość kobieca jest niewyraźną, „henidalną", jak się autor wyraża, i tylko przez mężczyznę dochodzi kobieta do uświadomienia. Autor zajmuje się poszukiwaniem odpowiedzi na jałowe do cna pytanie: co to jest genjusz? gdyż jest mu potrzebna wiadomość, czy kobieta może być genjuszem. Określenie genjusza wykoncypowane przez Weiningera, rozumie się, jest bezwartościowe, mętne i zdobyte na drodze transcendentalnej. O ile zorjentować się można w „nadfilozoficznych" aberracjach myślowych autora, genjusz jest to superlatyw syntetycznego uzdolnienia, pozwalającego przeżywać stany największej skali typów ludzkich a nawet kosmosu całego. Kobietom rozumie się, obcym jest wszelki genjusz skoro świadomość ich jest naturalnie przytępioną. Nie może być ona genjalną i z tego powodu, że kobieta nie zapamiętywa, jak genjusz, wszystkich swych zsyntetyzowanych przeżyć z wyjątkiem tylko przeżyć płciowych. Z tegoż powodu kobietom obce jest poczucie potrzeby nieśmiertelności. Kobietom i zwierzętom brakuje pamięci, zwłaszcza ciągłości pamięci. Ponieważ autor wykoncypował, że logika i etyka zależą od ciągłości pamięci, przeto oznajmia, że kobiety są alogiczne (t. j. pozbawione poczucia logiki), są amoralne (nie antymoralne t. j. pozbawione poczucia moralnego). Do garnituru bezwartościowych ale zdumiewających odkryć Weiningera należy i to jeszcze, że kobieta absolutna nie ma jaźni, charakteru, duszy, woli wstydu, godności jest przytem „aspołeczną" nie mając poczucia prawdy i sprawiedliwości. Moralność kobieta kopjuje ale nie tworzy. Niedość tego: kobiety jeszcze są „areligijne". Wreszcie W. nie waha się zrobić zdumiewającego odkrycia, że kobiety nie mają ani istnienia ani jestestwa, nie istnieją i nie są niczym i dlatego, tylko dlatego, mogą stać się wszystkim. Wszystko to czym kobiety nie są obdarzone, jest znamieniem mężczyzny i autor z najzimniejszą krwią i przekonaniem, rezolutnie oznajmia, że „czysty mężczyzna jest wizerunkiem Boga".

Zagłębiając się w wątek myśli pana W. nie staraliśmy się wyławiać wszystkich sprzeczności i wykluczających się zdań, zamieszczonych w książce; pomimo tego, gdyby nam miejsce pozwoliło, moglibyśmy służyć półtuzinem sprzeczności, które zsumowane sprowadziłyby treść książki p. W. do zera lub prawie do zera. Nie może to zadziwiać tego, który odgaduje moralny i umysłowy stan autora. Ażeby nie można było mieć żadnych wątpliwości co do stanu władz umysłowych autora, zacytujemy tu parę znamiennym ustępów rozsianych w jego traktacie. Oto one: *a*) intelligibilne, ponaddoświadczalne istnienie mężczyzny jest wyniesione ponad materję, przestrzeń i czas, *b*) duch ma władzę nad przyrodą, *c*) siła nasienia męskiego zdolnego nawet z odległości do zapłodnienia

[2]) Revue du Mois. X. 1908 str. 400-425.

kobiety... *d*) samotność byłaby wszak identyczna z moralnością i byłaby warunkiem wszelkiego prawdziwego współżycia we dwoje i zbiorowego, *e*) twierdzenia matematyki są urzeczywistnioną muzyką, *f*) mężczyzna... może stać się zwierzęciem, rośliną, może także stać się kobietą, *g*) człowiek jest wszechświatem i dlatego nie jest zawisły od innych części, jak część poszczególna, *h*) wielki imperator staje się zjawiskiem przyrody, wielki myśliciel i poeta stoi poza nią, *i*) geniusz zatym, który obłąkanym sią staje, nie chce już być geniuszem; chce on zamiast moralności — szczęścia. Te kilka cytat są wzięte na chybi trafi; bynajmiej nie są najkapitalniejszymi i nie wymagają komentarzy.

Prócz tego p. Weininger przepojony jest wiarą, na którą tylko metafizycy i transcendentalni filozofowie zdobyć się mogą, że gdy dokona on jakiej operacji gramatycznej nad tym lub owym słowem, by otrzymać nowe pochodne słowo o nowym pojęciu z nowym odcieniem, to tym samym dokonywa odkrycia nowego w stosunkach bytu realnego, który wcale nie myśli stosować się do gramatyczno-logicznych experymentów filozofów.

Ponieważ jednak do napisania dużej książki dużo trzeba czasu przeto, w trakcie pisania W. musiał chwilami pozbawiać się swego filozoficznego koszmaru, powracać do przytomności i przeżywać t. z. „horae lucidae". W chwilach takich autor powracał do rzeczywistości i odczuwał, że rzeczywistość zaprzecza jego filozoficznym wywodom i konstrukcjom. Ztąd usiłowanie ratowania ulubionych tez przed obaleniem ich przez rzeczywistość, z którą autor zerwał wszelkie stosunki.

Ażeby uratować swe tezy, autor na swój sposób do tego się zabiera. Naprzód oznajmia on, że jeżeli są moralne kobiety, to dlatego właśnie tak się dzieje, że są one „amoralne"; jeżeli są religijne, to dlatego, że są „areligijne" i t. d. Wreszcie robi autor zdumiewające odkrycie, że te wszystkie kobiety, które swym jestestwem zaprzeczają „teorji o kobiecie", wysnutej z głowy Weiningera są histeryczkami. A histeryczne kobiety według tego „nadfilozofa" są to takie, którym jaźń męzka lub poszczególnego mężczyzny się narzuciła, wytwarzając tym zmaganie się przyrodzonej natury kobiecej z naleciałą naturą męzką. Jest to kwintessencja histerji w mniemaniu autora. Finał książki zharmonizowany jest z resztą. Ponieważ kobiecość jest w pojęciu autora miernikiem bezwartościowości, przeto rasy o znamionach kobiecych w przekonaniu autora nie zyskują aprobaty. Takimi kobiecymi rasami mają być mongołowie (Chińczycy bez zarostu i z warkoczami), murzyni i żydzi. Stąd potępienie żydowstwa przez autora, gdy doszukał się u nich w ich wadach dużo kobiecości. W końcowym rozdziale książki przebija, że autor odczuwa potrzebę wysnucia jakichś wniosków ostatecznych i wskazań na użytek życia praktycznego.

Jakimi mogą być te wskazania, wsparte na tak cudacznych przesłankach?!

Autor wobec tego problematu stoi bezradny i niezdecydowany. Wreszcie wywodzi ze swej filozofji postulat wstrzemięźliwości płciowej dla obu płci. „Fécondité" jest obrzydliwością. Obawa przed wymarciem gatunku jest świadectwem tchórzostwa i irreligijności. Do takich wniosków dochodzi „zwierzę metafizyczne", jakim się okazuje autor.

Zgłębianie chorych myśli autora i konieczność rozejrzenia się w nich odczuliśmy jako mękę i doznaną krzywdę. Jeżeli tego rodzaju wydawnictwa pojawiają się w Niemczech, można to usprawiedliwić tym, że wartki, porywający prąd wytwórczości umysłowej porywa wszystko w swój wir, co na swej drodze napotka. Nadmiar środków wydawniczych stwarza prawie ocean produkcji książkowej, w którym kropelka niezdrowa bez śladu i bez szkody ginie. Inne skutki wyniknąć muszą w stosunkach życia polskiego. W naszym potoku wydawniczym jad umysłowy i duchowy, sączący się z książki W. stanowi już tak poważną domieszkę, że w sposób dotkliwy obniża zdrowotność tej chudej i niepożywnej cieczy, jaka zawartość owego potoka stanowi.

Alexy Kurcyusz.

KRYTYKA.

Na marginesie „Oziminy" Berenta.

(Ciąg dalszy).

Każdy fakt surowy, lecz zwykły w życiu, każde starcie się i rozbicie traktowane tu jest, jako coś, przed czym należy stanąć w osłupieniu, z załamaniem rąk, że tak jest właśnie. Ulega się złudzeniu, że natura przestała wyłaniać cenne wartości, że się jest świadkiem zaćmienia życia, zagłady szlachetności. Upadek Niny, naprzykład, jest pretekstem do cierpkiego wybuchu złego sumienia, obawy, że pogwałcono etykietę, że dusza okazała swą dzikość prymitywną. Wbrew oczekiwaniu — niema tu ani odrobiny *szczęścia*. Śmierć samobójcza poety Woydy, popełniona ongi, znowu użyta jest jako środek zgęszczenia chmurności, jako nowy pretekst do bezładnych, rwących się na strzępy zwierzeń, utyskiwań i majaczeń kobiet, przerażonych zaborczą i zabójczą potęgą płci i roszczących pretensje do nieznanego boga, że im właśnie nie okazuje szczególnych względów. (Tu na miejscu zaznaczyć ową wyraźną niechęć współczującego ze swymi kobietami autora do mocnego instynktu!)

* * *

Widać w Berencie niezwykłą bluszczową zdolność owijania swych pędów omdlałych około byle pnia. Kosmopolityzm barona, lalkowatość księdza, nieudolność mówców, śmieszność młodzieńców, zgrzybiałość majora, upadek Niny, refleksje pani domu — oto pieńki — preteksty. Znudzone nieco damy skarżą się na to i owo. Berent obraca się cały w słuch, obwija bluszczowo koło tych ciał pulchnych a ciepłych i słucha wszystkimi mackami. Nienasycona niczym potrzeba wylewania swej zgorzkniałości każe mu korzystać z każdego powodu, z każdej chmury, byle zasępiać czoło...

Ale ten pisarz tak wytworny w cieniowaniu ciekawych odsłonień natury kobiecej, tak subtelny, zwarty, przenikliwy, gdy trafi na swój typ (baron), obdarzony tak żarliwą uwagą artystyczną, że oko jego jest rodzajem aparatu drobnowidzowego (to widzenie sięga czasem aż granic śmieszności np. „Na jego wąsach zajęczych dygotały przemilczenia ciekawe") ma swoje słabostki — zamiary, w których chybia. W toku powieści potęguje on stopniowo a artystycznie chmurność kolorytu. Za pomocą zwierzeń kobiecych, po nocy, wprowadza pierwiastek oszałamiający. Wreszcie rusza z miejsca i wiedzie, jakoby do ataku na czytelnika, przewracającą oczyma kukłę murzyńską. Lecz owe kilkakrotne ataki kukły chybiają celu. Zdaje mi się, że niepodobna odczuć zgrozy, jaką wobec tej kukły czuje Nina. (Moje zdanie o zgrozie: może ją wywołać pisarz, obdarzony z natury bardzo silnymi nerwami, nacierający raczej na każdą klęskę, nie zaś kurczący się pod jej dotknięciem).

* * *

Mały szczegół: wszystkie kobiety, którym autor poświęca szczególniejszą uwagę, są rozrosłe, bujne, tryumfujące cieleśnie, wylewające się poza obręb gorsetów! Ani jednej harmonijnie pięknej, nieprzelewnej

kibici! I tu również — jak we wszystkim — żądza liryczna zaciera i mąci rysunek. I tu oko widzi to tylko, co mu jest potrzebne.

* * *

Wrażenie ogólne: Berent skobieciał i zmroczniał. Co było w „Próchnie" męzkie, żywe, ufne, płynne, połyskliwe i dźwięczne — tu stało się podejrzliwe, żółte, nasępione, stężałe, rozprzęgłe i rozwarte „w dziób ptaka na posusze".

* * *

„Ozimina" jest owocem wysokiej i dojrzałej kultury estetycznej, tęgości intelektualnej i oryginalnego talentu. Istotnie, jeżeli się zważy, że lepsza część umysłów wyczekuje doskonalszego dzieła, i to dzieła w innym niż istniejące duchu, a znudzona już jest niepomiernie niepoprawnym zadowoleniem z siebie niektórych autorów i płytkością szczebiotów optymistycznych — to zdawałoby się, że „Ozimina" ukazuje się właśnie w chwili najodpowiedniejszej. Lecz — naprawdę nie pamięta się książki pełnej talentu, którąby większą wzbudzała odrazę. Znalazły się w niej wszystkie zastarzałe nałogi beletrystyki polskiej, lecz tak krwiste, przechadzające się z taką ostentacyjnością, że stały się nie do zniesienia. Berent doprowadził do wysokiego mistrzowstwa sztukę zasępiania czoła, zwilżania gruntu pod sobą wydzielinami lirycznymi aż do zupełnego rozmiękczenia, aż grunt pocznie się uginać, kląskać i chłonąć wszystko, nie wyłączając samego „zwilżacza". Brak tu owego energicznego rzutu, aby się stać wolnym, a nadmiar opłakanego, żarliwego przywiązania do tego właśnie, co męczy i nęka.

Wszystko to brzmieć musi zgrzytliwie, może nawet oszczerczo i urągliwie w uszach tych, którzy „Oziminę" mają za rodzaj nieustraszonego oskarżenia, rzuconego w oczy narodu, jako odsłonienie niebezpieczeństwa, jako sumienność w dokumentowaniu chwili, jako lek. Ci, którzy sądzą, że Berent jest rycerzem, który spiął ostrogami gnuśne zwierzę — społeczeństwo, mają nieszczególne pojęcie o rycerstwie. Dla tych, którzy spojrzeli w oczy tej prawdzie, że Berent jako wychowawca jest niemożliwy, „Ozimina" jest zgoła czym innym — dla nich: „Ozimina" czyli jak to z zastoju czyni się bóstwo dławiące, któremu zgrzytając zębami, składa się jednak ofiary ludzkie; „Ozimina" czyli dusza artysty, jako ofiara mimowolna swego czasu; „Ozimina" — czyli obowiązek nasiąkania odorami społecznymi — to brzmi rzetelniej!

Tu zarazem warto zaznaczyć, że zgorzkniały liryk powstaje skutkiem owej zdolności nasiąkania, bierności w wchłanianiu wszelakich woni i swędów, które potym najsumienniej zwraca się społeczeństwu!

* * *

Był czas, że literatura w Polsce uginała się pod ciężarem cierpień chronicznych. Ważąc swe siły i ogrom cierpienia, uznano w swej głębi tajemnej, że jest ono niezmożone. Wtedy pokochano instynktownie cierpienie, jako objaw najmożniejszy. Usłyszano w cierpieniu chóry archanielskie i skończyło się na uroczystej jego kanonizacji. Literatura przez to stała się nawskroś chrześciańską, jakkolwiek niektórzy pisarze tego pokroju zerwali z praktykami kościoła.

Berent należy do okresu późniejszego, do okresu buntu przeciw chronicznemu cierpieniu. Cierpienie traci aureolę, przestaje być świętem, lecz nie przestaje być potęgą. Zachowuje jeszcze pozory mocy samoistnej, staje się rodzajem bożyszcza lnb złego bóstwa— szatana, wciela się w kształty np. klęski historycznej lub zastoju społecznego. W tym okresie człowiek, który staje przed widzami, usiany lśniącymi łzami, jak jaguar centkami, nie jest jeszcze przez to poniżony: potęga zewnętrzna, a wroga i napastująca jest jeszcze tak przemożna, że dobrze jest czasem i zapłakać. I pierwszy i drugi okres mają tę cechę wspólną, że uwalniają człowieka od odpowiedzialności wobec życia i stwarzają postawę bierną: nie podobna nie nasiąkać, nie być pognębionym i oszołomionym: odory są jeszcze zbyt silne! W tym okresie, nienawidzi się swego bóstwa, zżyma się nań, lecz jeszcze mu się służy! Jestto okres złego humoru w sztuce, kiedy się wznosi z nadzwyczajną precyzją artystyczną *tumy* na cześć swego bożyszcza czy szatana, tumy — w rodzaju „Oziminy".

W okresie tym, w okresie mistycznej zgrozy i bałwochwalstwa — literatura staje się ostatecznie opowieścią o tym, jak to panu X lub panu Y nic nie mogło się udać, jak z niczem nie mógł się uporać. W sztuce zaczyna gospodarować typ człowieka poszkodowanego, który dostał od życia dobrą nauczkę i odtąd nieco się boi, niedowierza swym instynktom, trzyma się trochę na uboczu, reaguje jedynie z konieczności. Każda niemal powieść z tego okresu staje się historją, *jak to człowiek zwolna uczy się pokory*. (Dzieje Ewy). W tym okresie życie nie jest jeszcze ani lśniące ani giętkie. Twórczość nieprzerwana, doświadczenie nieograniczone, nieustanne coraz szersze roztwieranie oczu jest jeszcze wzbronione, jako coś mogącego zagrozić zmierzchem „bożyszcz". Nie podejmuje się w tym okresie rewizji ideałów. Ponieważ kult tu jeszcze istnieje, więc aby go utrzymać, potrzeba pewnej dozy konserwatyzmu. Ludzie tu stąpają z pewną suto namaszczoną powagą, noszą się ze swymi niezmiennymi przekonaniami jak ze środkiem ochronnym przeciw niebezpieczeństwom życia. Ten okres jest pełen sprzeczności! Obowiązkiem jest tu zarówno kochać naprzykład: swój „naród" jak smagać go czasem, karać surowo, spinać ostrogami, niedowierzać mu. Z tych przerzutów od tkliwości matki do oskarżeń sędziego, z tego szamotania się „pisarza" i rozterki jego wewnętrznej, rodzi się właściwy temu okresowi *patos*. Każdy znakomity pisarz tego okresu występuje w roli kapłana, sędziego, prawodawcy, wydaje nawet swe postanowienia obowiązujące. Może on rzec: „Narodzie, będę jątrzył twoje rany, aby nie zarastały błonami podłości. Czyli: nie wierzę twym instynktom żywotnym i twej szlachetności, potrzebuję twej choroby jako rękojmi. Dopóki niebezpieczeństwo nie minie, żyć będziesz w specjalnym rygorze". Czyż to nie rzecz jasna, że w tej epoce poświęca się swe siły artystyczne temu właśnie — co się traktuje z pogardliwą podejrzliwością, temu, co już nie jest aniołem, lecz nie jest jeszcze djabłem, i że tu miłość splata się z okrucieństwem? Głucha trwoga w obliczu *człowieka* bije z podziemi literatury tego okresu. Nie trzeba się łudzić: okres ten nie dokona wielkich odkryć psychologicznych: człowiek jest dla artystów tego okresu zwierzęciem zbyt nieczystym, aby się w niego zagłębiać mogli bez zawrotu głowy. Charakterystyczne jest owo zżymanie się, tracenie przytomności i chwianie tam właśnie, gdzie ciekawość pisarza o tęższej strukturze duchowej — lecz bez lirycznego rozdarcia i patosu — dopiero rozpala się na dobre.

(d. n.). *Leon Choromański.*

Wybór poezji Edwarda Słońskiego.[1)]

Prostota, siła i głębokość wzruszeń, żal serdeczny, tkliwy i rzewny smutek, łzami pojona tęsknota — nie mogły zapewnić p. Słońskiemu wybitnego stanowiska w beletrystyce, gdzie przedewszystkim wymagana jest trafna, przenikliwa obserwacja, dość jednak

[1)] Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa 1911. Cena rb. 1 kop. 50.

mają w sobie rozpędu i lotu, aby zawieść go na wyżyny liryzmu, w słońce szczerej, świetlistej poezji. Nieustannym wysiłkiem artysty przebijając się poprzez mgławice dolin, kroczy ścieżynami samotnych dum, po bezludnych drogach zdążając w krainę, z której płyną wszystkie sny jego i natchnienia.

Poezja Słońskiego uderza prawdą wewnętrznej treści; podbija ucho melodją, a serce i umysł — szczerością; ujmuje swą świeżą, przejrzystą falą barw, jak widok wiosennego zdroju, którego powierzchnia mieni się ciągle barwami nieba i łąki.

Słoński nie jest poetą orkanowych, hucznych lotów; nie stawi czoła nawałnicom, nie zagląda w czerwone ślepia gromów, druzgoczących skały. Lot jego wyobraźni jest cichy, łagodny miękki i falisty, jak echo leśne. Pieśni jego, zrodzone „z melancholji jesiennych wieczorów" roztapiają się w malachicie nieba, toną w ciszę gasnących zórz, jak w słodycz nirwany. Niekiedy w skwarne, omdlałe południa na skrzydłach skowrończanych wzbijają się aż pod zenit, i zaniósłszy się od ekstazy światła i od obszaru niebios jakimś szalonym zachwytem uczuć, spadają nagle ku ziemi, do czarnej skiby rolnej przyciskając rozełkane serce.

Wstań i chodź za mną — przyszedł czas śpiewania,
Kwitnącej wiosny dech po ziemi chodzi,
Ziemia rozwarła swe łono — i rodzi...
Macice winne rozkwitły, kochania
Czar, jak sen biały, nad ziemią się słania!
Wstań! to miłości święto — a my młodzi!
To dla nas słońce na błękitach wschodzi!
I księżyc srebrne prószy obłąkania.
Wstań i chodź za mną — przyszedł czas śpiewania,
Od kwiatów ślubne zieleni się łoże,
Niby winnica w czasie winobrania.
Wstań — ja ci moje królestwo otworzę,
Rzucę pod stopy swoich snów płomienie,
I w ogniu chodzić będziesz — jak natchnienie.

Poeta zdaje sobie sprawę z natury swego wdzięku: nie usiłuje on lepić dla siebie skrzydeł sztucznych z piór, pogubionych przez orły, bo wie, iż na poziomie szczerości utrzymać go potrafią jedynie skrzydła własne, drobne i szare, ale własne. Nie goni on mar zwodniczych obcej, zewnętrznej wielkości, nie z własnego poczętej ducha: wie, że górę frazesów przeważy nieraz jedna cicha kropla smutku, dobyta z głębin przeżycia.

Małą formę bierz dla myśli małej,
Bowiem w wielkiej twoja myśl zmaleje.
Umiej zmieścić całą epopeję
W jednym krzyku twej duszy zbolałej.
Lepszy akord od symfonji całej,
Gdy w akordzie brzmią wszystkie wybuchy, —
Wszystkie twoje wiary i nadzieje.
Więc nie mogąc, dać, jak wielkie duchy,
W śnie wizyjnym pieśni zolbrzymiałej,
Swojej duszy daj małe okruchy...

Niepodobna rozstać się z tym tomem poezji, nie przytoczywszy, choćby w wyjątkach, przecudnego wiersza „Ojczyzna", brzmiącego uroczystą, wprost organową głębokością tonu:

Przehandlowaliśmy na nic
Swój znak i graniczne kopce —
I dziś dla nas niema granic
I swoim jest wszystko obce.

Takeś wyrosła nam ślicznie
I takieś się rozszerzyła
Bezzbrojnie i bezgranicznie,
Serdeczna ojczyzno miła!

Rozsiadłaś się w obcych grodach,
Ty polna, rolna i wiejska,
We krwi kąpana i w miodach,
Rycerska i kołodziejska.

Rozsiadłaś się w obcych grodach
Na świata wielkiej połowie —
O twoich głodach i chłodach
Nikt nie wie, nikt się nie dowie.

Nikt się nie wzruszy do płaczu,
Kiedy zaśpiewa kto czasem
O tym żołnierzu tułaczu,
Co chodził borem i lasem.

Bo dzisiaj ty przebogata,
Bezmiedzna i bezgraniczna,
Ojczyzno z połowy świata,
Wszak jesteś wielojęzyczna.

Ci mówią tak, ci inaczej —
Po włosku i po mongolsku,
Więc któż zrozumie, co znaczy
Żołnierska piosnka po polsku.

Nie zrozumieją i — dobrze!
Co komu, do naszych głodów,
Co komu, że kiedyś chrobrze
Szliśmy na czele narodów.

Dziś chociaż twych bohaterskich
Rapsodów nie zna nikt prawie,
Na strzępach płaszczów żołnierskich
Ty jeszcze pióra masz pawie.

I na końcu te najwyższe, jedyne, niezapomniane akordy, które w duszę wdzierają się, jak lament rozpaczy:

O ziemio, ojczyzno moja,
Ojczyzno bez miedz,bez granic,
Stępiła się moja zbroja
I odzież zdarła się na nic.

Z dalekich dziś wracam szlaków,
Z nad Tybru, czy z nad Dunaju,
Ojczyzno wędrownych ptaków,
Co wiecznie są na wyraju!

Do twego łona się garnę,
Ty matko moja i swachno!
Twe skiby mokre i czarne
Tak pachną! tak grobem pachną!

Strofy te ryją się w pamięci serca: pozostaną one i trwać w niej będą wieczystym pomnikiem skamieniałego żalu.

W. Rzymowski.

O „Kupcu Weneckim" Szekspira.

Bibljotekę studjów o „Kupcu Weneckim" Szekspira powiększę o jedno małe spostrzeżenie. Zajmuje mnie w tej chwili wyłącznie punkt szczytowy tego fantastycznego dramatu i całości „Kupca" roztrząsać nie będę, mając na swe usprawiedliwienie właśnie wspomnianą bibljotekę wglądnięć, rozbiorów, essayów i ocen, poświęconych szczodrze bajce o szlachetnym aryjczyku i o nikczemnym życie. Zenitem tej sztuki jest niewątpliwie obraz, przedstawiający przebieg procesu, któryby można nowocześnie nazwać *affaire Antonio-Shylok*. Wszyscy piszący o tej scenie, która wywiera tak wielkie wrażenie, uważali ją za bardzo proste. Tymczasem jest ona równie skomplikowana, jak wrażenie, które wywiera na widzach. Postaram się to udowodnić.

Przed sądem stoi dwóch ludzi: dłużnik i wierzyciel. Ponieważ dłużnik nie zapłacił w porę długu, więc wierzyciel wymaga od niego za pośrednictwem sądu, aby spełnił warunek, do którego spełnienia zobowiązał się przed trzema miesiącami, podpisując oblig. Sprawa zupełnie jasna. Wierzyciel, uzbrojony w dokumenty, musi ją wygrać. Ale...

Warunek, który podpisał dłużnik, jest okrutny, oddaje życie dłużnika w moc wierzyciela.

Więc sąd zwleka z wydaniem wyroku, przemawia do ludzkich uczuć wierzyciela. Napróżno.

Napróżno. Bo wierzyciel nienawidzi dłużnika, nienawidzi go okropnie.

Za cóż go tak nienawidzi, za cóż, że aż własną ręką chce mu śmierć zadać? Cóż mu ten dłużnik uczynił, że za niezwrócone pieniądze, więcej! za pieniądze w trójnasób zwracane dzisiaj, po terminie, wierzyciel nie przyjmuje spóźnionych pieniędzy, żąda wypełnienia warunku obligu, czyli chce wykrajać dłużnikowi funt mięsa z pod serca?! Cóż mu ten dłużnik uczynił tak złego, że wierzyciel nie zna dla niego litości nawet z własną szkodą majątkową?! Kim jest dla wierzyciela ten pieniężny dłużnik? Może mordercą jego ojca, brata, uwodzicielem dziecka, podpalaczem mienia...? kim, kim dla Shyloka jest Antonio?!

Kim jest? Posłuchajcie.

Jest on dręczycielem i mordercą nietylko jego ojca i nietylko brata, i uwodzicielem jest nietylko jego dzieci, i grabieżcą, podpalaczem jest nietylko jego mienia! Jest on dręczycielem i mordercą jego dziada, pradziada, pra-pra-pra-pradziada! i syna, i wnuka, i pra-pra-prawnuka! Antonio jest przedstawicielem aryjskich pokoleń gigantycznej rasy, która od wieków gnębiła i wieki krzywdzić będzie rasę żydowską Shyloka! Antonio jest jednym z tych, którzy uczynili Shyloka nieszczęsnym od dnia urodzenia do godziny skonu — i Antonio dostał się wypadkiem w Shylokowe ręce, pragnące odwetu, bezwzględny krzywdziciel dostał się w bezwzględny potrzask krzywdzonego!

I ten ma go wypuścić? Chwycił swego ojcobójcę, swego synobójcę, swojego... zabójcę! i ma go wypuścić?!

Nie! On mu wymierzy teraz sprawiedliwość! on go ukarze!

I za zezwoleniem sądu podnosi dłoń ku piersi wroga, aby mu wymierzyć sprawiedliwość w innej niż dzisiejsza dukatowa sprawa.

Na tym się kończy część pierwsza procesu — w chwili, gdy winowajca, och, nie winowajca w obliczu praw weneckich, ale winowajca wobec praw Shyloka do życia, do ludzkiego życia, gdy winowajca, przez bezsilny trybunał Shyloka (Shyloków) zdawna potępiony, ma ponieść zasłużoną karę, t. j. ma spłacić poczynione krzywdy, ma ponieść sprawiedliwą śmierć z ręki Shyloka mściciela.

Jesteśmy świadkami zaczynającej się kaźni; podkreślam: *jesteśmy świadkami*. Więc budzi się w nas z całą gwałtownością współczucie dla mordowanego, kimby on kolwiek był! Patrząc na krwawą robotę kata, nienawidzimy kata, choćby on najprawniej sprawiał swoje dzieło, choćby zabijał mordercę! Nienawidzimy go zupełnie naturalnie, tak jak nienawidzimy mordercy, który „bezprawnie" zabija człowieka w naszych oczach. Nienawidzimy tedy Shyloka, a współczujemy Antoniowi. I gdy jeden z sędziów chwyta katowską rękę i wstrzymuje cios, moralnie czynimy wraz z sędzią to samo.

W tym miejscu zaczyna się druga część procesu.

Antonio wymknął się z potrzasku. W ten potrzask uwikłał się z kolei Shylok. Mija kilka minut i miecz weneckiego prawa zwisa nad karkiem Shyloka. Krwiożerczy kat zamienia się w godną litości ofiarę. I staje się rzecz ludzka: zagrożonemu śmiercią i chrztem Shylokowi — współczujemy. Cieszyliśmy się jego porażką w chwili, w której wyrwano mu z zbrodniczych rąk Antonia. Ale gdy jego samego biorą na tortury i pod nóż, zaczynamy mu współczuć. Tak, współczujemy mu prawdziwie, gdy go widzimy spadłego z wyżyn upojenia, upojenia zemstą (która nas przejmowała przecież wstrętem); gdy go widzimy zbladłego, bezsilnego, bezradnego, startego w proch przez przemoc — współczujemy mu. Wspaniałomyślność Antonia na rzecz zdeptanego żyda (zresztą wspaniałośliność dosyć miernego gatunku) sprawia nam zadowolenie nie ze względu na Antonia, ale ze względu na Shyloka, biednego, w strzępy poszarpanego Shyloka. Och, on nienawidził, nienawidział strasznie! lecz nie bez powodu. Do nienawiści miał uzasadnienie. Więc i do zemsty?... do zemsty, która się miała urzeczywistnić w okrutnym morderstwie? a morderstwo znów ściąga nienawiść na mordercę, więc i nową zemstę... Lecz nie idźmy dalej. Czas streścić uczucia, doznawane na widok dwóch bohaterów procesu.

Patrzyliśmy na dwóch wzajemnych zbrodniarzy, którzy są zarazem dwiema wzajemnymi ofiarami. Zbrodniarze wywoływali w nas uczucie wstrętu i chęć zasłonięcia przed nimi ofiary. Ofiary wywoływały w nas współczucie i chęć uwolnienia ich z szponów zbrodniarzy. Jakże skomplikowane położenie i jakże jednocześnie proste. I Antonio ma słuszność i Shylok ma słuszność. I Antonio nie ma słuszności i Shylok nie ma słuszności. Obaj mają słuszność, kiedy boleśnie wołają, że są krzywdzeni! Wówczas jesteśmy z nimi. Obaj nie mają słuszności, gdy *krwawo nienawidzą* krzywdziciela; wówczas ich opuszczamy. O, życie, które stawiasz równania, nie rozwiązujące się bez reszty! O, Szekspirze, który potrafiłeś to pokazać, nie pisząc *pièce a thèse!*

Śledziliśmy przebieg procesu, mając dla tych samych ludzi, dla każdego z nich oddzielnie, dwa razem sprzęgnięte uczucia: przychylność i odrazę. Bowiem dla uważnych słuchaczów sztuki dobroć Antonia dla bliźnich, wyłącznie aryjczyków, nie uczyniła tegoż bardziej pociągającym od Shyloka, który ma przyjaciół wyłącznie między żydami. Rzecz oczywiście biorąc przedmiotowo. Śledziliśmy tedy przebieg procesu z dziwnym zamętem w sercu.

Salę sądową uczynił Szekspir w tej samej chwili miejscem zbrodni i miejscem wymierzania sprawiedliwości za zbrodnię. Uczynił nas świadkami zbrodni i świadkami kary za zbrodnię, kary, która również jest przelewem krwi ludzkiej.

Gdy czytamy w dzienniku opis okrutnego mordu, wstrząsamy się odrazą na mordercę. Gdy czytamy opis tracenia tego mordercy, wstrząsamy się odrazą na karzącą przemoc. Te dwie chwile, zwykle rozdzielone kilkoma miesiącami, Szekspir pomieścił w jednej półgodzinie, przez co osiągnął niezwykły efekt, efekt skomplikowany i pełen grozy.

Oto są powody, dla których przebieg procesu Schyloka śledzimy z dziwnym zamętem w sercu, przeszło trzysta lat.

Wacław Grubiński.

NA DOBIE.

Jubileusz Pauliny Reinschmidt-Kuczalskiej.

W dniach 6 i 7 b. m. świat kobiecy uroczyście święcił pamiątkę trzydziestoletniej pracy bojowniczki ruchu kobiecego w Polsce p. Pauliny Kuczalskiej. W uznaniu zasług czcigodnej jubilatki i w hołdzie dla jej pracy, poświęcenia i wytrwałości, zjednoczyły się z nastrojem tej uroczystości serca wszystkich, którym drogie są ideały sprawiedliwości społecznej.

Trzydzieści lat działalności, ożywionej jedną myślą, natchniętej jednym uczuciem: myślą postępu, i uczuciem światłej humanitarności, — to jest już obszar olbrzymiego podboju pod znakiem nowoczesnej kultury, to dokonany już na glebie społecznej posiew ziarna, które odtąd rość i bujać będzie, niosąc plony stokrotne. Trzydzieści lat to już jest wiek jednego pokolenia, które w trudzie owocnym zmagało się z siłami ucisku i ciemnoty, aby nam drogę utorować w przyszłość. To też, w chwili obecnej, okiem radosnego tryumfu ogarniając zdobyte placówki i wygrane bitwy, dumni jesteśmy z owej tradycji, jaką zawdzięczamy szczytnym wysiłkom nielicznych, ale pracą wielkich, duchów, poprzedników naszych na niwie kultury, a zarazem jej przodowników niestrudzonych.

Paulina Kuczalska stała się jedną z najżywotniejszych dźwigni ruchu wyzwoleńczego kobiety. Pod wpływem jej gorących nawoływań rosły zastępy kobiet, z całą świadomością dobijających się równych praw przy równych obowiązkach. Wszelako, nietylko kobiety chylą dziś w hołdzie czoła przed zasłużoną jubilatką. Walka o równouprawnienie płci, to walka o sprawiedliwość. „Ruch kobiecy, — że przytoczę tu trafne słowa Kuczalskiej, — stanowi integralną część dążeń ludzkich do coraz doskonalszych form bytu, więc też służy on dobru nie jednej tylko płci, lecz całej ludzkości”.

Idylla parafjalna.

Gdybyśmy chcieli na łamach swego pisma drukować wszystkie głosy skarg, odsłaniające nadużycia kleru, zmieniłoby się ono w chór nieustannego biadania. Wyzysk materjalny, grubijański stosunek względem dusz wierzących, a mściwa zaciekła nienawiść wobec wszystkiego, co mury kościelne przerasta — oto codzienna treść wypadków, składających się na zwykłą idyllę parafjalną naszych wsi i miasteczek.

Duchowieństwo katolickie trwoni ogromny zasób sił na zwalczanie wolnej myśli, postępu i całej nowoczesnej kultury, nie spostrzegając, że stokroć większym dlań wrogiem jest ów rozkład, w którym samo ono grzęźnie bez wstydu i bez ratunku. Duchowieństwa nie pokona żaden podbój zewnętrzny: ono samo runie w przepaść, którą pod nim wykopały wieki.

Myśl wolna i oświecona ma dla wstecznictwa i ucisku klerykalnego oręż zabójczy, ale jednocześnie dla fanatyzmu i ciemnoty kleru posiada wyrozumiałą, słoneczną pobłażliwość: na akty przemocy odpowiada siłą osobistego przekonania, a intrygi i podstępy prześwietla poprostu kontrolą opinji powszechnej. Natomiast w łonie ludu nadużycia i wybryki kleru rodzą groźny pomruk nienawiści, którą lada podmuch rozpętać może w zawieruchę. Wszak z rozpusty i zmaterjalizowania kleru katolickiego wyrodziła się możliwość walk bratobójczych katolików z marjawitami. Wartość społeczna i kulturalna nowej sekty pozostaje dotychczas zagadką. Korzyści z niej dla narodu są wątpliwe. Zato pewnikiem niewątpliwym pozostanie fakt, że narodziny jej chłop polski okupić musiał przelewem ojczystej krwi i poprzysiężeniem zemsty bratu rodzonemu z sąsiedniej wioski. Przeciwko fanatyzmowi Rzymu marjawityzm wysunął i uzbroił fanatyzm chłopskiej chaty, wnosząc w życie ludu mnóstwo zainteresowań fikcyjnych i wbijając klin mistyczny w bezradną i bez tego głowę wieśniaka.

Kościół katolicki nie wyciągnął jednakże należytej nauki dla siebie z niedawnych wstrząśnień. Możnaby przypuszczać, że przestał on myśleć i przewidywać. Zaślepienie jego, po dawnemu, jest tak wielkie, że nic, właściwie, nie zabezpiecza nas od wybuchu nowej wojny religijnej w przyszłości. Lud nasz poziomem etyki swej zaczyna przerastać etykę plebanji. Bywa nietylko wstrzemięźliwszy, pracowitszy, bardziej ludzki od swego pasterza, ale niekiedy nawet — pobożniejszy. Wiadome zaś jest przywiązanie ludu do ceremonji i obrzędów kościelnych. Na tle niedbalstwa księżego, wywiązuje się rozterka między proboszczem a parafją. Rozterki takie miewają dla powagi kościoła bardzo niebezpieczny przebieg, gdyż opozycja parafji przeciwstawia się księdzu właśnie w imię obrażonego majestatu uczuć religijnych. Że na tym tle dziś już dochodzi do starć gwałtownych, świadczy list, jaki otrzymaliśmy przed kilku dniami od p. M. K., opisujący wypadek, zaszły w jednym z dekanatów djecezji Lubelskiej. Charakterystyczność listu polega na tym, że, jak widać, napisał go człowiek wierzący, przekonany głęboko o moralnym posłannictwie kleru. Skrzywdzony ciężko w naturze swych uczuć przez ks. St. N., piastującego w administracji kościelnej urząd wybitniejszy, wyczerpał on wszelkie środki reagowania ze swej strony przeciw nadużyciu, zanim odwołał się do opinji publicznej.

Skandal wydarzył się podczas pogrzebu jednego z b. unitów, starca 80-letniego, który po wielu latach wygnania, dokonał wreszcie skołatanego żywota na rodzinnej ziemi. Ale w tym miejscu odstępujemy pióro p-nu M. K., ponieważ każdy sam jest najlepszym rzecznikiem swej krzywdy.

„To było tak, — powiada: — po długim targowaniu się, przykładny ów kapłan nareszcie zadowolił się sporą kwotą i przyjechał do domu, gdzie leżał nieboszczyk. Było to pod wieczór. Pogrzeb miał być nazajutrz. Ks. St. N. obleczony w kapę, biret, z krzyżem w ręku, wszedł do mieszkania, nie pozdrowiwszy nawet obecnych zwykłym powitaniem chrześcijańskim. Miast przyzwoicie pokropić trumnę i zaśpiewać stosowny psalm, bąknął kilka słów pod nosem i wyszedł z mieszkania...” — „Żal nas przejął wówczas, — pisze dalej p. M. K. — trumny długo nie udawało się zamknąć; korzystając z powstałej zwłoki, zaintonowałem pieśń: „Z głębokości wołałem...” Wtedy to ks. N. posłyszawszy śpiew z podwórza, wpadł z powrotem do izby i, chwyciwszy mię za gardło, jął wołać ze wściekłością: To człek nienormalny! wyrzucić go za drzwi! Wszczęła się bójka, krzyk, zamęt...”

Nie będziemy, za autorem, który był jednocześnie ofiarą zajścia, powtarzać w całej drobiazgowości burzliwej sceny. Dość powiedzieć, że mąż boży wziął górę nad filistynem. Pan M. K. srodze poturbowany przez swego pasterza, w ciągu dwóch miesięcy goił na skórze ślady ręki duchownej; całością własnej skóry zapłacił, nieborak, za zdrożną myśl śpiewania psalmów pobożnych nad zwłokami umarłego.

My, rzecz jasna, ze swej strony nie możemy podzielać dewocyjnych zapałów pana M. K. i nad losem jego nie rozczulamy się zbytnio, uważając odwoływanie się do sił nadprzyrodzonych za świadectwo niższości umysłowej; wszelako nie możemy się oprzeć wnioskowi, że w swym zatargu z przedstawicielem kościoła padł on ofiarą jedynie tego, iż na serjo pojął swe obowiązki katolika.

Sprawa oparła się, wskutek skargi pana M. K., o Lubelski Sąd Okręgowy. Na sądzie wyjaśniło się, że krewkiemu księdzu grozi areszt tylko za pokrzy-

wdzenie człowieka. Natomiast zniewaga obrzędu katolickiego, krzyża, modlitwy tudzież świętego spoczynku nieboszczyka miała pozostać — bez kary. „A przecież mnie, — zastrzega autor listu, — chodziło przedewszystkim o to!” Z wyrafinowaną, właściwą wszystkim gorliwcom religijnym, mściwością, osądził on, że wybaczyć może krzywdę własną, ale obrazy bożej darować mu nie wolno. Zwrócił się przeto z kolei ze skargą do władz djecezjalnych, żądając zadość uczynienia moralnego od biskupa. Skarga nie odniosła, rozumie się, żadnego skutku. „Sądząc z treści pańskiego listu, — odpowiedziano mu z konsystorza,— jesteś pan niezadowolony z działalności całego kleru rzymsko-katolickiego” — a przeto daj nam pokój.

Jest to odpowiedź w swej lapidarności klasyczna: krytykę działań jednostki podnosi się do godności zamachu na całą instytucję, aby w ten sposób złamać jej ostrze.

Ileż rezygnacji, ile rozbrajającej pokory zawierają w sobie te akty poufnej solidarności, serdecznego wspólnictwa winy całego duchowieństwa z pierwszym lepszym awanturnikiem, zawadjaką albo brutalem w sutannie!

Rezygnacji? Pokory? Czy może dezorjentacji etycznej?

By rozstrzygnąć dylemat, przypomnijmy sobie słynną odezwę oo. Paulinów, wydaną nazajutrz po wykryciu splotu potwornych zbrodni na Jasnej Górze: „To nie my! — wołali w popłochu: — to nie my! patrzcie, jesteśmy biali i czyści! my niewinni!” Istotnie ci, którzy podpisali odezwę, byli niewinni, atoli sama konieczność usprawiedliwienia z ich strony potwierdzała zasadność tej strasznej dla całego narodu błyskawicy podejrzeń, która na nich przez chwilę spoczęła.

Zestawmy ze sobą dwie te enuncjacje:

Tam grono mnichów świątobliwych czuje się objęte niewidzialnym kręgiem wspólnictwa w zbrodniach, a protestując przeciw oskarżeniom, które nie zostały wypowiedziane, stwierdza tym samym odpowiedzialność swą za moralne uczestnictwo w atmosferze zwyrodnienia!

Tutaj zaś, konsystorz w równie oficjalnej odezwie, winą jednej napastliwej jednostki obarcza cały zespół duchowieństwa!

Doprawdy, ciosy, jakie zadaje sobie kościół własną szaloną ręką, przekraczają miarę najbardziej chrześcijańskiej pokory i abnegacji!...

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* P. Ludwik Straszewicz, który pozwala sobie niekiedy na kosztowny w prasie zachowawczej zbytek — szczerości słowa, wpadł ostatnio na pomysł zestawienia dwóch posągowych postaci Gambetty i Wielopolskiego, przyczym obaj ci mężowie, tak zupełnie do siebie niepodobni, z równą życzliwością zostali na szpaltach *Słowa* potraktowani; takim bowiem kapryśnym szlakiem chadzają myśli p. Straszewicza.

Oburzył się na to mocno *Dziennik Powszechny.*— Czy nie zanadto — pyta — chwali katolickie *Słowo* owego męża, który pierwszy rzucił klasyczne odtąd w dziejach kultury hasło: *Le cléricalisme — voilà l'ennemi!*

> Podzielając i służąc hasłom i celom masonerji, składającej się z radykalnej burżuazji i kosmopolitycznych bankierów żydowskich, położył podwaliny tej ich polityki w trzeciej republice, która, dbając tylko o materjalne bogactwo i przemożny wpływ swojej klasy, doprowadzić usiłuje coraz arbitralniejszymi środkami do dechrystyanizacji Francji, prześladowania religji katolickiej i Kościoła, do przymusowej laicyzacji wszelkich szkół, zniesienia stowarzyszeń religijnych, trwałości związków rodzinnych, wiary w Boga i t. d.
>
> On pierwszy nauczył swych następców, którzy skwapliwie i bezwzględnie zastosowali jego metodę, aby *aspiracje coraz głośniejsze i potężniejsze czwartego stanu skierować przeciwko religji i duchowieństwu,* rzucając im ochłapy zabieranych majątków kościelnych, i używając tak zwanego przez siebie *„klerykalizmu“, jako klapy bezpieczeństwa dla odwracania naporu proletarjatu od kapitałów i majątków rządzącej barżuazji,* rozbudzając w tym celu fanatyzm antywyznaniowy, jak gdzieindziej krzewią np. fanatyzm przeciw „inorodcom“, na co teraz dopiero zaczynają się otwierać oczy robotników francuskich.

Istotnie — „czy nie zanadto?”

Czy nie zanadto przeholował *Dziennik Powszechny,* przedstawiając zdumionym oczom zachowawców znienawidzoną Myśl Wolną jako „klapę bezpieczeństwa dla odwracania naporu proletarjatu od kapitałów i majątków rządzącej burżuazji”?...

Co za nierozwaga! co za niewstrzemięźliwość karygodna! Jakiż to chochlik złośliwy podsunął pod pióro pobożnego pisarza takie zdumiewające odkrycie? Toż całe rzesze ultra-zachowawczych abonentów *Dziennika* gotowe są przejść *in gremio* do obozu Wolnej Myśli, która tak skutecznie i niechybnie potrafi „odwracać napór proletarjatu od kapitałów i majątków!”

O lekkomyślny *Dzienniku,* czemu tak nieoględni e podcinasz gałąź pod własnym gniazdem?

Teraz już nikt nie uwierzy p. Miecznikowi, choćby wołał, bijąc się w piersi, że to on właśnie na szpaltach *Dziennika* broni kultury współczesnej od zagłady ze strony przewrotowych, nihilistycznych hufców Myśli Wolnej...

Zresztą, dziś już nie przystoi organowi klerykalnemu pełnić funkcji zachowawczych, skoro wyręcza go tak skutecznie Myśl Wolna. W najbliższym chyba czasie wystąpi *Dziennik Powszechny* otwarcie jako rzecznik bezwzględnej, nieubłaganej walki klas i zwolennik zupełnego przewrotu. Wszakże niedawno zalecał *Dziennik* socjalizm rewolucyjny, jako najlepszy środek przeciwko „żżydzeniu” współczesnych społeczeństw. Ciekawe będzie miała Warszawa widowisko; ciekawych sprzymierzeńców zyska *Wolny Głos* i *Nowe Życie...*

* Skorzystał z okazji i *Przegląd Katolicki,* aby wodzowi „realistów” wytknąć gorszące i karygodne hołdy, składane na szpaltach *Słowa* masonom tej miary, co Ferrer i Gambetta:

> L. Straszewicz we wszechświatowym ruchu masońskim, wywołanym w obronie Ferrera przeciw katolickiemu rządowi w Hiszpanji, widział przed rokiem zorzę lepszych czasów, wschodzącą dla ludzkości. Na Gambettę zaś patrzy tak, jak przez swe szkiełka każą nam patrzeć patentowani urabiacze przeciwchrześcijańskiej opinji. Dlaczego? Nie wiemy, dziwimy się i żałujemy, widząc tak niepospolity umysł w usłudze fałszu i masońskiej intrygi.

Co do nas, nie mogą nas dziwić ani sprzeczności p. Straszewicza, ani gniewy klerykalne, które wybuchają za każdym razem, gdy ten oględny i wytrawny „realista” pozwoli unieść się nagłej szczerości i z „tajnego” liberała stanie się na moment liberałem jawnym.

Ale dość jednego giestu groźnych dozorców, aby p. Straszewicz przypomniał sobie, że jest w *Słowie* więźniem dożywotnim—i powściągnął swą liberalną szczerość.

* Lwowscy klerykaliści i endecy zwalili na redakcję tygodnika *Życie* najcięższy, w ich mniemaniu, zarzut „farmazoństwa”, co w języku państwa Dulskich oznacza współczucie czy też współdziałanie z masonami. Na to *Życie* piórem M. Leliwy odpowiada:

> Mianujecie nas, czcigodni panowie, „farmazonami“ i sądzicie, że obelgą będzie to dla nas? My przezwisko to z dumą przyjmiemy! Mamy wielkich poprzedników w Jędrzeju Mokronowskim, Ignacym Potockim, Tadeuszu Kościuszce, Janie Henryku Dąbrowskim, Józefie Poniatow-

skim, Ksawerym Rymkiewiczu, Hugonie Kołłątaju, Stanisławie Staszycu, Stanisławie Potockim, Jędrzeju i Janie Śniadeckich, w Wolnomularzach Narodowych, w Szubrawcach wileńskich, w tych pokoleniach całych młodzieży, które z lóż masońskich wynosiły kult dla prawdy i cnoty. Wiemy dobrze, jaką mamy za sobą tradycję i jaką treść związała historja z imieniem wolnomularza. Tego imienia chcemy stać się godni...

Oto jędrna i krótka odprawa, dana tym, którzy niby to stoją na straży tradycji, a chyłkiem chcieliby wyciąć lub splugawić najpiękniejsze karty naszych dziejów. Lwowski tygodnik postępowy zamknął usta potwarcom tym oto prostym spisem kilku imion, przed którymi ze czcią i wzruszeniem chylą się wszystkie czoła...

* Oprócz polskiego „farmazoństwa" nielada mają kłopot nasi klerykaliści z obchodem wielkiego jubileuszu Włoch Zjednoczonych. Mimo ukazów papieskich i wrzaskliwej kampanji wszystkich organów zakrystji, nasza opinja publiczna jakoś nie daje się przekonać, że dzieło Garibaldich, Mazzinich, Cavourów jest rzeczą zdrożną i godną potępienia: przeciwnie, wiedziona trafnym instynktem, zgaduje ona poprzez mgłę i kurzawę klerykalnych fałszów i potwarzy, że walka o zjednoczenie Włoch jest jednym z najpiękniejszych dziejowych aktów; kołacą się zresztą tu i owdzie, przyćmione i zagłuszane usilnie, ale mimo to żywe reminiscencje owych lat, kiedy serca polskie i włoskie biły unisono. Wbrew pobożnym zakazom przypomniał to sobie *Kurjer Warszawski* i w artykule „*Za wolność Włoch*" z d. 7 maja wskrzesza pamięć walczących (i poległych) za tę srpawę Polaków, między którymi historyk włoski Tencajoli wywymienia Adama Mickiewicza, Mikołaja Kamińskiego, Marjana Langiewicza, Franciszka Wysockiego, Haukego-Bosaka, Milbitza, Gustawa Jeraczewskiego i Ludwika Mierosławskingo, dodając że byli poza nimi inni jeszcze mniej sławni i o mniej znanych nazwiskach, ale „nie mniej dzielni i waleczni".

„Mickiewicz — mówi Tencajoli — przyjaciel najwybitniejszych polityków 1848 r., pozostawił po sobie we Włoszech pamięć nieśmiertelną: Cavour nazwał go bratem duchowym Homera, Wirgiljusza, Danta".

Dowodem tej pamięci było wmurowanie w r. 1877 w domu przy *Via del Pozzetto* Nr. 143 kamienia z napisem tej treści:

„Adam Mickiewicz, poeta największej sławy, w tym domu organizował do wojen o niepodległość włoską zastęp walecznych polaków w r. 1848. Senat i lud rzymski, 19 marca 1877 r.

W następnym roku biust naszego wieszcza umieszczono obok biustów Mazziniego i Cavoura w sali Arazzich na Kapitolu i uwieńczono go z wielką uroczystością w roku 1880

Po ukończeniu kampanji 1860 r., która ostatecznie zdecydowała o wolności Włoch, wybitniejsi oficerowie Polacy, jak Ponińscy i Milbitz, wstąpili do wojska włoskiego, inni rozproszyli się po Europie, bądź wrócili do ojczyzny. Wielu atoli zostało we Włoszech, a Langiewicz, osiadły w Turynie, przy moralnym poparciu Garibaldiego, stał się inicjatorem szkoły wojskowej w Cuneo.

Z kolei odpłaciły Włochy, wzamian za pomoc Polaków, daniną krwi własnej: w r. 1863-ym powstały we Włoszech na wezwanie Garibaldi'ego, liczne komitety pomocy materjalnej i czynnej:

Odbywano — pisze Tencajoli — mityngi i zbierano pieniądze, które przesyłano rządowi narodowemu w Warszawie, dopominającemu się ciągle o przybycie Garibaldiego. Ponieważ zaś on przybyć nie mógł, pojechał więc zamiast niego pułkownik Nullo z zastępem garybaldczyków. D. 5-go maja 1863 r. pod Krzykawką, koło Olkusza, zginął Nullo i Eljasz Marchetti. Część oddziału musiała ustąpić z pola i szukać schronienia na terytorjum austryjackim, inni wpadli w ręce Rosjan i po sumarycznym procesie zesłano ich na Syberję, gdzie przebywali do r. 1867.

Śmierć Nulla i Marchettiego, oraz rozbicie oddziału, żywo zabolały Garibaldiego, który miał wśród powstańców osobistych przyjaciół, jak Langiewicza, Haukego-Bosaka, Lelewela-Borelowskiego, Smolińskiego i w. in. dawnych towarzyszów broni.

Kiedy w r. 1870 pośpieszył Garibaldi z pomocą Francji, powalonej pruskim obuchem, nie zabrakło u jego przedstawiciela idei polskiej, w osobie Haukego-Bosaka, który poległ w bitwie pod Dijon, idąc w pierwszym szeregu...

Te rzeczy — dodaje od siebie *Kurjer Warszawski* — godne są przypomnienia w chwili, kiedy z miljonowej piersi szczęśliwego dzisiaj narodu wyrywa się pełen czci dla przeszłości i wiary w przyszłość okrzyk: *Evviva Italia*!

Z prasy rosyjskiej.

* Podana przed paru tygodniami wiadomość *Gazety lwowskiej* o tworzącej się jakoby unii pomiędzy Watykanem, a potężną sektą staro-obrzędowców rosyjskich wywołała zrozumiałą sensację. Obecnie okazuje się, że wiadomość *Gazety lwowskiej* była wyrazem złudzeń, żywionych wciąż przez pewne koła działaczy ultramontańskich.

Oto *Utro Rossii* wydawane przez grono zamożnego kupiectwa, wyznającego przeważnie stary obrządek, dowiedziawszy się z *Now. Wr.* o nadziejach wspomnianych sfer, takie zamieszcza wyjaśnienie:

Trzeba wiedzieć, jak odnoszą się staroobrzędowcy do katolicyzmu.

Już „stugłowy" sobór uznał „papieżników" za „najgorszych" heretyków, inny zaś sobór pod przewodnictwem Filareta postanowił nawet chrzcić na nowo katolików przy przechodzeniu ich na prawosławie, czyli uznał ich za heretyków „pierwszej klasy", prawie narówni z poganami (*sic!*)

Postanowienie to zachowuje swą moc u staroobrzędowców dotychczas, ponieważ i dziś katolicy, przyjmujący ten „stary obrządek", muszą chrzcić się na nowo. Pomimo to usiłowania Rzymu, aby pozyskać staroobrzędowców, trwają w dalszym ciągu, chociaż nie dopisuje im powodzenie.

Cały ciężar tego połowu serc pośród staroobrzędowców Rzym złożył na metropolitę unickiego w Galicji, Andrzeja Szeptyckiego.

Uczyniono tak dlatego, ponieważ w Austrji jest niemało staroobrzędowców rosyjskich, którzy opuścili granice Rosji w okresie prześladowań.

W swoim czasie staroobrzędowcy w Białej Krynicy odgrywali dużą rolę i w Rosji, ponieważ stamtąd szły nominacje i święcenia biskupów i duchowieństwa. Z czasem jednak środowisko życia staroobrzędowców znowu przeniosło się do Moskwy.

Wiemy z najlepszego zródła, że nie odbywały się, nie odbywają i nie mogły odbywać żadne „narady upoważnionych" o przyłączeniu 10 miljonów staroobrzędowców do kościoła katolickiego.

Stary obrządek dzieli się na kilka odgałęzień; niektóre z nich całkowicie nie uznają duchowieństwa. Jakże zatym mogłyby one uznać zwierzchnictwo papieża, którego uważają przytym za jednego z poprzedników Antychrysta?

Nawet jednak ci, którzy mają swoją hierarchję lub przyjmują duchownych od cerkwi panującej („biegłopopowcy"), nigdy nie wejdą w unję z Rzymem, skoro im nawet zjednoczenie ze znacznie bliższą rosyjską cerkwią państwową wydaje się niemożliwe, lub możliwe jedynie pod warunkiem wyrzeczenia się przez cerkiew synodalną wszystkich nowości, zaprowadzonych od czasu Nikona.

Wszelkie zatym wymysły o możliwości ciążenia staroobrzędowców ku Rzymowi, trzeba tłómaczyć jawną nieuczciwością lub zupełnym niezrozumieniem historji i ducha „starego obrządku".

Dotychczas kurja rzymska pozyskała tylko duchownych Susalewa i Storożewa, ale — popierwsze — jeden z nich przed przejściem na stary obrządek był „prawosła-

wnym", a powtóre — obaj oni przeszli na katolicyzm dopiero po ujawnieniu ich najrozmaitszych nieprzyzwoitych postępków, po pozbawieniu ich godności duchownej i wypędzeniu z grona staroobrzędewców.

Zdobycz to nie była w żadnym razie zaszczytna, ani znakomita".

KRONIKA.

VOTUM NIEUFNOŚCI w nader ostrej formie uchwalono Stołypinowi w Dumie na posiedzeniu d. 10 b. m. w odpowiedzi na wyjaśnienia jego, wywołane interpelacją ze strony Izby Państwowej, w kwestji niezgodnego z prawem zastosowania przez rząd art. 87 praw zasadniczych. Olbrzymią większością głosów (202 przeciw 82) przyjęto formułę październikowców, uznającą działania prezesa Rady ministrów za niezgodne z prawem, a wyjaśnienia jego za niezadowalające.

ROZDZIAŁ KOŚCIOŁA OD PAŃSTWA W PORTUGALJI. Ogłoszone świeżo w Portugalji prawo o rozdziale Kościoła od Państwa składa się z siedmiu rozdziałów i 197 artykułów. Główniejsze zasady tego prawa są następujące:

Rozdział pierwszy wyjaśnia, że republika uznaje i gwarantuje swobodę sumienia, oraz znosi przywilej religji rz.-katolickiej jako religji panującej. Nikt nie może być prześladowany z powodu wyznania lub kultu religijnego. Kult domowy, prywatny — jest całkowicie swobodny. Kult publiczny ograniczony jest prawnymi warunkami.

Rozdział drugi ustanawia, że obowiązek sprawowania kultu t. j. obrzędów religijnych, należy do stowarzyszeń wyznaniowych; trzecia część dochodów tych stowarzyszeń przeznacza się na środki spełniania kultu i na dobroczynność. Stowarzyszenia religijne nie mają prawa zajmować się wychowaniem ani nauczaniem; mogą tylko zajmować się nauczaniem religji.

Rozdział trzeci ustanawia nadzór nad kultem publicznym wewnętrznym i zewnętrznym i nad budowlami religijnymi.

Rozdział czwarty określa dobra należące do Państwa i te które należą do osób prywatnych. Wszystek majątek ruchomy należący do Kościoła powinien być spisany.

Rozdział piąty określa, że kościoły katedralne, parafialne, kaplice — które będą uznane za konieczne dla obrzędów religijnych, będą oddane stowarzyszeniom.

O MUZEUM RAPPERSWILSKIE. W tak głośnej dziś sprawie fatalnej gospodarki w Muzeum rapperswilskim zabrał nareszcie głos dyrektor tej instytucji, dr. Józef Gałęzowski. rozsyłając do pism polskich oświadczenie następujące:

„Po oświadczeniu moim z dnia 4-go kwietnia, ukazały się w dziennikach krajowych zażalenia, jakobym, odkładając odpowiedź rady muzeum w Rapperswilu aż do d. 5-go sierpnia, chciał zbagatelizować całą sprawę i zaprzepaścić wszystko to, co jeszcze istnieje w muzeum. Na zażalenia te mam honor oświadczyć, co następuje:

„Jeżeli odkładam do sierpnia odpowiedź rady muzeum na zarzuty jej i kustoszowi muzeum poczynione co do gospodarki w muzeum, to jedynie w tej myśli i w tym celu, wyraźnie w oświadczeniu wypowiedzianych, aby cała rada, zebrana w Rapperswilu, mogła na miejscu wszystkie zarzuty rozpoznać, o ich słuszności lub niesłuszności się przekonać i w osobnym memorjale podać do wiadomości publicznej szczegółową i wyczerpują odpowiedź.

„Zaatakowany osobiście, nie mogę przekonywać opinji publicznej o nieprawdziwości wandalskiej gospodarki; niech rada w całym swoim składzie odpowie na te niby straszne rzeczy, dziejące się w muzeum.

„Zwrócę tylko uwagę, że zarzuty, czynione radzie i kustuszowi, odnoszą się do czasów dawnych, bo przed 17 laty Dobrzycki skrytykował porządki ówczesne, a p. Żeromski również w owym czasie przebywający w muzeum, także krytykuje działalność kustosza nie dzisiejsza, lecz dawniejszą. Rada muzealna wzięła te krytyki pod uwagę w swoim czasie, uczyniła zadość słusznym, a na nieprawdziwe odpowiedziała wówczas i odpowie jeszcze raz po zebraniu się rady w sierpniu.

„Rada instytucji muzeum w Rapperswilu, złożona z ludzi rozproszonych po kraju i poza jego granicami, i mających swe stanowiska i obowiązki, nie może w każdej chwili zbierać się w murach muzeum i dlatego niepodobna jej się zebrać przed sierpniem.

„Co się zać tyczy możebności zniszczenia przez te cztery miesiące zbiorów muzealnych, zapewnić całe społeczeństwo polskie mogę, że nic zniszczone nie będzie i to właśnie pod nadzorem i pod opieką dzisiejszego kustosza muzeum.

„W imieniu i z polecenia delegacji: *Józef Gałęzowski*, dyrektor muzeum".

Paryż, 30-go kwietnia 1911 r.

JESZCZE W SPRAWIE RAPPERSWILSKIEJ. Z powodu oświadczenia p. dyr. Gałęzowskiego z d. 30 kwietnia, jako wydawca broszury „Sprawy rapperswilska", czuję się w obowiązku do następujących wyjaśnień: O tym, że zarzuty p. Żeromskiego odnoszą się do czasu, kiedy on pełnił obowiązki bibliotekarza, wie każdy, kto broszurę naszą przeczytał, gdyż czas pobytu Żeromskiego w Rapperswilu, jako bibliotekarza, ściśle na wstępie broszury jest podany. P. Gałęzowski dzieli najwidoczniej działalność kustosza na dawniejszą i dzisiejszą, autorowie zaś broszury, aczkolwiek wiedzą doskonale, że kustosz do elzewirów dziś już nie strzela (co i przez p. Kłyszewskiego zostało stwierdzone) i że zbiorów Chodźki nie wyrzuca, niemniej p. dyr. Gałęzowskiego, p. kustosza Rużyckiego i tę część Rady, która wówczas obowiązki swoje sprawowała, odpowiedzialnymi czynią za szkody wówczas wyrządzone. Opinja fachowa dyr. Kopery odnosi się nie do stanu dawnego, lecz do stanu dzisiejszego muzeum, podobnie jak i fotografje, w Nr. 17 *Świata* się znajdujące, przed paru miesiącami w Rapperswilu zdjęte zostały. Pisma, w których się ukazało oświadczenie dyr. Gałęzowskiego, proszę o powtórzenie niniejszego.

St. Szpotański.

KONGRES PRASY W RZYMIE. W obecności króla, kilku ministrów, wielu dygnitarzy, senatorów i posłów, otwarto we czwartek międzynarodowy kongres prasy w Rzymie.

Mowę powitalną wygłosił minister Luzzatti. Mówił miądzy innymi że obowiązkiem prasy jest stać się apostołem cywilizacji i narzędziem udoskonalenia duchowego. Gdy ludzie władzy usiłują nadużyć swej mocy, aby zakłócić pokój światowy, wolna prasa zmusza ich do poszanowania sprawiedliwości międzynarodowej. Wielkie dzienniki są często lepiej poinformowane, niż dyplomaci i czasem popełniając szczęśliwe w skutkach niedyskrecje doprowadzają do sprawiedliwego zakończenia. Następnie powitał kongres w imieniu narodu włoskiego.

W imieniu miasta Rzymu witał dziennikarzy syndyk Nathan, wreszcie prezes międzynarodowego związku prasy, Wilhelm Singer, wygłosił mowę, w której dziękował narodowi włoskiemu i miastu Rzymowi za gościnność, królowi zaś za obecność na kongresie.

OFIARY.

Na rzecz ochronki im. Sienkiewicza dla przychodzących dzieci w Warszawie pracownicy Huty Nikopol-Maryupolskiej w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 5, T Jabłkowski rb. 5, T. Kobyliński, rb. 2, L Gorazdowski rb. 2, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, S. Kleinsznek rb. 1, I. Tomaszewski rb. 2, S. Pilarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rajski rb. 1, L. Czaykowski rb. 1. Razem rb. 32.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.